WARSZAWA KRAKÓW LWÓW POZNAŃ

BLUSZCZ

№ 22—23. ROK WYDAWNICTWA LIII. Dnia 1 i 8 Czerwca 1918 r.

PRENUMERATA W WARSZAWIE:
Miesięcznie: Mk. 2.15, kwartalnie: Mk. 6.25, półrocznie: Mk. 12.50, rocznie: Mk. 25.

CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparelowy lub jego miejsce „za tekstem": Mk. 1.50; ogłoszenia zwycz. 65 f. „Nadesłane" Mk. 2.50, margines Mk. 18. Kolumna Mk. 360. Załączniki Mk. 40 za tysiąc.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO . . . Fen. 65.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM

Pod redakcyą ZOFII SEIDLEROWEJ

Ekspedycya główna: Nowy-Świat 41.

Drobnych rękopisów nie zwraca się. — Tel. Red. 105-22. Tel. Adm. 220-86.

Prenumerata na prowincyi, w Austryi, Galicyi, w Rzeszy Niemieckiej i W. Ks. Poznańskiem:
Rocznie: Mk. 30, półrocznie: Mk. 15, kwartalnie Mk. 7.50.

W Lublinie „Bluszcz" w biurze dzienników „REKORD" — Kapucyńska 2.

W Krakowie u W-go D. E. Friedleina—Rynek 17.

We Lwowie — w biurze dzienników W-go Henryka Buchstaba — ul. Karola Ludwika 21.

OD REDAKCYI.

Dzięki pomocy technicznej, ofiarowanej nam przez właścicieli drukarni, w obec przedłużającego się bezrobocia pracowników drukarskich, wydajemy znów połączone numery 22-gi i 23-ci. Starać się będziemy wyrównać w jaknajkrótszym czasie powstałe wskutek bezrobocia zaległości.

W setną rocznicę zgonu Dąbrowskiego.

Nie leży na Wawelu, gdzie miejsce na niego czeka, między Kościuszką a Księciem Poniatowskiem, ale spoczął w prostym mundurze legionisty On, — któremu Naród królewską szablę Sobieskiego wręczył — w Winnogórze — na tej ziemi Wielkopolskiej, z którą zrósł się, na której zwyciężał i gdzie prochy jego na straży zostały.

Człowiek mocy niezłomnej i żywotności niewyczerpanej, a sumienności w Polsce rzadkiej, postać z granitu i bronzu, której żadne klęski i zawody nie zdołały skruszyć i od raz obranego odwieść celu.

Wódz, który był ojcem dla żołnierza skazanego na tułactwo, niejednokrotnie zmuszonego do najemniczej służby, a który umiał w te drużyny tchnąć bojowego ducha, utrzymać karność żelazną, a zarazem wierność hasłu, że „Ludzie wolni są wszędzie braćmi".

Polityk polski, bo twórca legionów, nie mógł być tylko żołnierzem, w najcięższych okolicznościach miał tę najrzadszą u nas odwagę brania na siebie odpowiedzialności, mimo klęsk i niepowodzeń, nie załamał się nigdy, nie zachwiał na moment, mimo błędów, których na początku swej karjery nie zdołał uniknąć.

Chciał wolnego, niepodległego państwa polskiego, chciał go uparcie i z wiarą, nie mógł się bowiem zgodzić z tem, co było u nas po rozbiorach. Szukał ratunku, wyjścia, najrozmaitsze kreśląc plany, nie zawsze oryentując się szczęśliwie, ale zawsze z męską siłą czynu.

Ani na chwilę nie poddał się rozpaczy.

Miał niezwykłą śmiałość inicyatywy, a gdy się pomylił umiał się cofnąć i rozpoczynał pracę na nowo, gdy go pominięto, mimo, że cierpiał nad tem, bo był ambitny, panował nad sobą i nie pozwolił nigdy by osobista uraza mogła obrócić się na szkodę krajowi.

Wprost nam wnukom, którzy w podobnych żyjemy okolicznościach, wierzyć się nie chce by można było to wszystko przetrwać i spełnić swój obowiązek do końca.

Bo przypatrzmy się tylko historyi...

Dąbrowski widział Sejm Grodzieński — przeżył Maciejowice i rzeź Pragi, ale właściwie insurekcya go dopiero stworzyła, zbudziła w nim ten gorący patryotyzm, który w obcem środowisku leżał stłumiony niby ogień pod popiołami...

Nie tylko dziś ale i wówczas nie każdy mógł odrazu poznać drogę właściwą, między sumieniem żołnierza a Polaka i wtedy zachodził konflikt. Memorjał Dąbrowskiego do targowickiej komisyi wojskowej, choć w dobrej intencyi skreślony, był błędem, dowodzącym, że, oficer, od kilku lat zaledwie przeniesiony do wojska polskiego nie oryentował się należycie w sytuacyi, ale choć skazany na infamię i śmierć, ocalony przez Wybickiego i Kościuszkę, ten ambitny Niemiec, jak go nazywano, o umyśle głębokim ale niezbyt lotnym, czynami dowiódł już pod Szczekocinami przy obronie Warszawy i na Wielkopolsce, że za wszystkie lata spędzone na obczyźnie, odsłuży krajowi w dwójnasób i z tą żarliwością nawróconego poświęci całą swą duszę Ojczyźnie.

I w samej rzeczy, kiedy wszystko się waliło, obłęd i rozpacz najtęższych ogarniały ludzi, Dąbrowski rąk nie opuszcza...

Jakkolwiek fantastyczne i dziwne wydają nam się te plany przebicia się z resztkami polskiej armii poprzez Niemcy nad Ren, w celu połączenia się z wojskami Rzeczpospolitej francuskiej — jest już w nich pierwszy pomysł Legionów, a fakt, że myśl tak niemożliwa w praktyce powstała jednak w umyśle zupełnie trzeźwym i bardzo realnym generała, dowodzi intensywności jego dążeń i niczem niepowstrzymanej woli ratowania bytu państwowego Polski, bo jak sam gdzieś powiada: Szał obywatela, marzącego o szczęściu swej Ojczyzny ma coś, co wzbudza uszanowanie.

Do głębi zatargał upadek insurekcyi duszą Dąbrowskiego, ale wyłonił zeń moc dotąd nieuświadomioną, skupił wolę, która zamieniona w czyn, nieśmiertelną chwałą okryła imię Polski i dziś jeszcze oddźwięk w sercach budzi.

Właściwie kampanja wielkopolska związała go na zawsze z narodem, zdobyła zaufanie i miłość żołnierza i rozwinęła w nim ten żywy, gorący patryotyzm, który wytrzymał najcięższe próby.

Bo gdy po niezliczonych trudach, targach, szamotaniach i poświęceniach, stworzył wreszcie owe Legiony, zdobył dla nich uznanie i podziw, musiał patrzeć na Mantuę i San Domingo, znieść jak w oczach własnych rozpadało się to dzieło, jak ginęli marnie „ci wolni ludzie którzy wszędzie są braćmi“ w walkach z murzynami... przeżyć rozłam wewnętrzny, dymisyę Kniaziewicza i starszyzny legionowej i Kościuszki wyraźne potępienie.

A jednak nie zwątpił...

W pierwszej chwili, gdy znów dla Polski zaświtała nadzieja i wojna francusko-pruska nowe otworzyła widoki, Dąbrowski z Wybickiem staje na wezwanie Napoleona w Berlinie — i stąd udaje się do Poznania z odezwą: Polacy! Napoleon wielki i niezwyciężony wchodzi z 300000 wojska do Polski! Nie zgłębiajmy jego zamysłów, starajmy się być godnymi jego wspaniałomyślności! Obaczę, powiedział on, obaczę, czyli Polacy są godni być narodem!...

Były to najpiękniejsze chwile w życiu Dąbrowskiego. Poznań przyjął go jak syna, młodzież spieszyła tłumnie w szeregi i wkrótce już walczyła pod Toruniem w armii marszałka Neya, oczywiście stanęli także przy jego boku dawni towarzysze broni z legionów, Amilkar Kosiński, który organizował nad Notecią oddziały powstańcze i pod Bydgoszczą gromił podjazdy pruskie — Aksamitowski, Fiszer, Godebski i liczniejsi jeszcze weterani powstania kościuszkowskiego.

W Łowiczu w sam dzień Nowego Roku 1807-go podczas zaprzysiężenia szlachty, mógł Dąbrowski w te przemówić słowa: Za najszczęśliwszy dzień życia mojego poczytuję ten, który po dwunastoletniem rozstaniu połączył mnie z Wami, Rodacy, który mi daje oglądać słodkie owoce prac moich, podjętych za granicą, na utrzymanie mężnego ducha w Polaku.

Ten rok 1807-my jest pierwszy, w którym każdy z was życie poczyna, bo kto Ojczyzny swej nie miał, tego można w liczbę umarłych policzyć.

I w ustach Jego, słowa te zaiste nie były frazesem, ale wynikiem głębokiego przemyślenia i istotnych przekonań.

Ale po zwycięzkiej bitwie pod Tczewem, gdzie odniósł ranę, po zdobyciu Gdańska i świetnej bitwie pod Friedlandem, w której Polacy rozstrzygnęli o zwycięstwie—przyszedł jednakże pokój w Tylży... to załatwienie tak połowiczne sprawy polskiej, które nikogo właściwie zadowolić nie mogło... Dla Dąbrowskiego zaś koniec wojny przyniósł przykry zawód osobisty—Naczelna komenda Armii Księstwa Warszawskiego powierzona została Księciu Józefowi Poniatowskiemu, a Dąbrowski otrzymał tylko nominacyę tak zwanej Legii trzeciej. Mimo dotkliwej przykrości umiał zapomnieć osobistą krzywdę i znów pospieszył do szeregów, był pod Raszynem, a następnie udał się do Wielkopolski, gdzie wzniecił powstanie i zagrodził tyłom armii austryackiej.

A wreszcie rok 1812...

Dość powiedzieć — po bohatersku bronił przeprawy pod Berezyną i mimo pogromu dotrzymał wiary cesarzowi i napoleońskich sztandarów nie opuścił. Dzielnie walczył pod Lipskiem. A gdy armie sprzysiężone zajęły Paryż i znów o wojsku polskiem zapomniano, Dąbrowski osobistym swym wpływem wyjednał od cara Aleksandra I, powrót żołnierzowi do Ojczyzny.

Jeśli Kościuszko zaskarbił sobie wieczystą wdzięczność narodu swym szlachetnym idealizmem, katońską prawością i wzniosłością ducha, jeżeli księcia Józefa kochamy za to junactwo rycerskie, za bohaterską fantazyę i tę polską gotowość ostatniej chwili — to Dąbrowski wywołuje nasz najwyższy podziw i najgłębszy budzi szacunek.

Czyn jego nie był wybuchem gorącego temperamentu ani wynikiem ducha wyrobionego w pracy narodowej od młodości— był już owocem wieku męskiego, był działalnością logiczną, wytrwałą, świadomą i wierną, do ostatniego tchu.

Wprawdzie Kościuszko słusznie przeczuł, że Napoleon tylko używa Polaków, przedewszystkiem chce ich wprządz w rydwan imperyalizmu — stary republikanin cofnął się przed cesarskim orłem. — Dąbrowski, wódz legionów — ludzi wolnych, którzy wszędzie są braćmi, mimo wszystkich zawodów stał wiernie przy Napoleonie, bo interes Polski szedł wówczas po linii interesów Francyi i tylko zwycięztwo Francuzów mogło zmienić ostatecznie nasze położenie.

Popieranie Napoleona było więc naszą koniecznością historyczną, bez względu na wynik walki, obojętność byłaby tchórzostwem—a zresztą przy zwycięstwie państw rozbiorowych — również nie ocaliłaby nas od zachłanności mocarstw ani nie uratowała od zniszczenia, które każda wojna na terenie walki szerzy.

Dąbrowski to rozumiał i dla tego wytrwał mimo wszystko—będąc do dziś wzorem najwyższym żołnierza polskiego.

Bez względu na uznanie tłumu, pełnił zawsze swój obowiązek, tak jak mu sumienie obywatelskie nakazywało — ukochany przez żołnierzy i w narodzie z czasem popularność zdobył — ale się o nie nie ubiegał.

I właśnie ta mężka prostota, ten szczery liberalizm bez żadnego radykalimu, ta rzetelna sumienność bez efektownych gestów stanowi Jego istotną wielkość, którą żołnierz polski każdego pokolenia naśladować winien.

Niech żołnierz ten pamięta, że i On — twórca legionów, popełniał błędy polityczne na początku, gdy z Saksonii przeszedł w szeregi polskie i nie oryentował się w sytuacyi kraju, niech nie zapomina, że i Jego zwano zdrajcą i sprzedawczykiem—-więcej, że był skazany na infamię i śmierć wyrokiem partyi.

W tragicznych chwilach zamętu i walki—dziwne bywają nieraz nieporozumienia, a nie zawsze znajdzie się zręczny i rozumny Józef Wybicki by ocalić „z godnością i powagą“ honor i obywatelstwo człowieka, który wśród otoczenia biernego, na własną rękę próbuje „łeb ukręcić hydrze“ i pchnąć sprawę na nowe tory.

I jeszcze jedno...

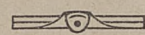
Dyscyplina surowa, scisła obowiązkowość nie jest dla ducha polskiego szkodliwa, przeciwnie — szkoła to twarda, ale dobra — żołnierzowi polskiemu wskazana. Z niej wyszedł Dąbrowski.

Oczywiście Naczelnik w sukmanie miał więcej w sobie piastowskiego sentymentu, a książe Józef malowniczej fantazyi, ale jednak Henryk Dąbrowski był istotnym ojcem żołnierza polskiego na tułaczce, a wreszcie opiekunem, który resztki wielkiej armii, jako kadry wojsk polskich do Królestwa przyprowadził i dla Ojczyzny zachował.

Tak — On — Dąbrowski — który dopiero w czterdziestym roku życia stał się Polakiem, nauczył nas, że podczas wojny tylko Czyn ma wartość — że to „co obca moc nam wydarła, mocą tylko odebrać możemy“.

Niech podczas tej rocznicy społeczeństwo polskie prawdę tę rozważy i zapamięta.

Marya Iwanowska (Theresita).



CEZARY ŁAGIEWSKI.

Udział kobiety w ruchu współdzielczym. 3)



Udział kobiet w ruchu współdzielczym nie kończy się na ich roli jako strażniczek domowego ogniska.

Z rozszerzeniem się atrybucji kobiet i tu zaznaczyły się ich wpływy.

Wchodząc do różnych zawodów kobieta, jako przedstawicielka owego zawodu oddaje kooperacji nieocenione usługi. I tem często staje się wychowawczynią swoich kolegów, uczy jak pracować społem, jak się wspierać należy, jak dążyć do ideałów pięknych i wzniosłych. Streszczając to, cośmy wyżej powiedzieli, widzimy, że rola

kobiet w ruchu współdzielczym jest bardzo doniosła. Wypływa ona, jak widzimy, z przeznaczenia kobiety jako kobiety, jako tej co stoi na straży dobra rodziny. Łączy się ona z nowym układem warunków, które płeć piękną w rzędzie zawodowczyń postawiły. Różne tu można wyprowadzić wnioski. Niezapominajmy, że kobieta ma tu i bierne pewne znaczenie. Mężczyzna samotny, kawaler, nieposiadający obowiązków, nie potrzebuje zabiegać o polepszenie swej doli w takim stopniu, w jakim to czyni człowiek obarczony rodziną, rzadziej odczuwa on potrzeby innych. Trudno jest skonkretyzować pracę kobiet-wychowawczyń nad współdzielczością. Z innych zjawisk, mówiących nam o roli kobiety w życiu współdzielczem notujemy przedewszystkiem znaczny jej udział w stowarzyszeniach spożywców. Objaw to bardzo naturalny. Stowarzyszenia spożywców są niejako olbrzymim warsztatem pracy gospodyń domowych. W dobrych zakupach gospodynie te są bezpośrednio zainteresowane. Nic dziwnego, że z drobnych oszczędności nie jedna pani domu wpłaca udział do stowarzyszenia, początkowo po to, aby mieć wygodę, a następnie, aby stać się apostołką i działaczką w dobrej sprawie. Iluż zwolenników kooperacji spożywczej zjednały kobiety! Ile wniosły do niej inicjatywy!

Stowarzyszenia pożyczkowe mają w kobietach doskonałą klijentelę dającą, oszczędzającą. Ileż tam rachunków wkładowych na ich imię bywa otwieranych! A to rachunki zazwyczaj drobne na początek, od małych sum się zaczynające w imię szczerze pojętej zasady od ziarnka do ziarnka...

Współdzielcze stowarzyszenia rolnicze w niektórych swych działach tylko dla kobiet są przeznaczone. Odnosi się to zwłaszcza do tych stowarzyszeń rolniczo-wytwórczych i rolniczo-magazynowych, które obejmują wytwórczość gospodarstwa kobiecego, a więc do składnic współdzielczych drobiu, jaj i t. d. W innych działach współdzielczości kobieta występuje już równolegle z mężczyzną jako zawodowczyni. Ale i tam widzimy ją coraz częściej nietylko w rzeszach zwykłych uczestników, ale i na przodujących stanowiskach.

Przechodząc od uogólnień do szczegółów, zaznaczamy, że praca kobiet na polu współdzielczem najdobitniej ujawniła się w Anglii, gdzie istnieją specjalne „Ligi kooperatystek".

W wydanej w r. 1915 broszurze bezimiennej pod tytułem „Znaczenie kobiety w ruchu współdzielczym" czytamy, że w państwie wysp, nie głośne hasła, nie teoretyczne żądania, ani też zachłanne podmuchy posunęły tę sprawę dalej, niż w innych krajach Europy. Kobieta sama umiała ją postawić na najwłaściwszym dla siebie gruncie oparłszy ją uprzednio na realnych dowodach własnej dojrzałości. Drogą cierpliwej pracy, począwszy od samych podstaw społecznego życia, rozszerzała wytrwale swą działalność obywatelską, zdobywając w ten sposób coraz pełniejsze uznanie swych praw.

Lig takich jest trzy: angielska, szkocka i irlandzka.

Liga angielska jest najstarszą. Powstała bowiem w roku 1883. Początkowo liczyła 7 członkiń. W r. 1911 było tu członkiń około 26 tys. w 520 filjach! Liga szkocka zorganizowała się w r. 1892, a irlandzka, w r. 1907.

Ligi współdziałają Związkowi, agitują, wychowują społeczeństwo dla współdzielczości i troszczą się, ażeby praca w kooperatywach szła rzeczywiście tak, jak pójść powinna.

Widzimy również pracę kobiet na polu współdzielczem w Belgji, Francji, Danji, Szwajcarji i Finlandji.

* * *

Pragnąc rozpatrzeć stosunek Polek do ruchu współdzielczego, należy również zdać sobie sprawę z roli kobiety w społeczeństwie polskiem i poznać właściwości polskiej kooperacji.

Nigdzie może nie ujawnił się tak silnie wpływ kobiet na całokształt życia narodowego, jak w Polsce.

W zamierzchłych czasach przeszłości mamy już tego dowody.

Dużo dobrego dla życia rodzinnego, wiele dla naszej kultury wniosły królowe-cudzoziemki.

Za sprawą Dąbrówki przyjmuje naród wiarę chrześcijańską. Jadwiga niesie kulturę daleko na Wschód, łączy nas z sąsiadami, dba o wyższą w Polsce oświatę. Nie możemy tu pominąć też działalności Marji Ludwiki, zajmującej się tak gorliwie sprowadzaniem zakonów do Polski i zakładaniem bractw kościelnych. Ziarna przez obce panie na nasz grunt swojski rzucone właściwe wydały owoce.

Za przykładem z góry szły nasze Polki. Ich rola w społeczeństwie zawsze była podwójna.

Wychowywały właśnie szeregi pokoleń, dbały o kraju dobrobyt, a i w sprawach ogólnych również bardzo wybitnie swe stanowisko zaznaczyły.

Szedł rycerz-Polak na wojnę, szedł ze śpiewem Bogarodzicy na ustach, z pieśnią w kolebce z ust matki zasłyszaną — szedł wesoły uśmiechnięty, ceniąc sobie wysoko śmierć na „polu chwały", bojąc się śmierci tej na łożu boleści... Szedł nasz wojak ochotnie bronić Ojczyzny, jej granic i honoru... Wychodził z domu, opuszczał swe gniazdo rodzinne na lata całe... Myślicie, czytelniczki, że przez ten czas pola jego odłogiem leżały?... Gospodarskie kłopoty brała wówczas na swe barki słaba niewiasta polska, ona mu często uprawiała rolę, ona mu gospodarstwem się zajmowała, a snać z zadań swych wywiązywała się należycie, skoro w Polsce zawsze był dobrobyt, skoro ona spichlerzem Europy się zwała...

W wielu sprawach narodowych głos kobiety na szali zaważał, wiele Polek przeszło do historji.

Dość tu wspomnieć cnotliwą Małgorzatę na Zembocinie, dość wymienić tu bohaterkę Chrzanowską!

Nie każdy naród pochwalić się może Elżbietą Drużbacką i jej „Rozmową kilku żon o mężach".

Gdy Polskę wykreślono z szeregu państw wolnych, nie tylko na sam smutek i łzy nasze panie zdobyć się umiały.

Potrafiły one nie tylko krzepić słowem, do czynu zagrzewać, ale same o należne nam prawa z męztwem, odważnie walczyć.

Czułe na sprawy narodowe, okazały Polki dużą wrażliwość i na niedolę bliźniego... Wszak to myśmy mieli poetkę, która umiała Stacha chłopa zestawić z królem, która przyszła na świat po to, by z tobą płakać, człowieku...

Jako członkinie bractw zdobywały Polki tradycję dla zrzeszeń w Polsce.

Jako wdowy po członkach, po tak zwanych braciach bywały one wielokrotnie cechów rzemieślniczych i konfraternij kupieckich uczestniczkami.

Ponad polskiemi kooperatystkami unosi się promienny duch Anny Jabłonowskiej, tej dobrej pani, która tak wielką troską otaczała swoich poddanych, a która w proroczem jakiemś widzeniu potrafiła uczynkami pokazać, co znaczy siła zrzeszenia.

Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności założyła faktycznie Zofja z Czartoryskich Zamoyska, matka popularnego później „Pana Andrzeja", który dla spraw współdzielczych zdążył już potem duże położyć zasługi.

Za czasów „chwalebnej rewolucji" z 1830 Klementyna z Tańskich Hofmanowa i Katarzyna Sowińska przy pomocy stowarzyszenia pragną biednym i nieszczęśliwym ulgi w niedoli przynosić. A gdy współdzielczość przybrała właściwe sobie kształty, przy tym warsztacie stanęła Polka do pracy z zapałem, ochoczo.

Rozwój korporacyjnych stowarzyszeń kobiecych, wywarł wpływ dodatni na rozwój polskiej współdzielczości. W stowarzyszeniach, hanlujących artykułami bławatnymi, same są prawie członkinie, a i w stowarzyszeniach spożywczych również pracę kobiet widzimy.

Na tle osobistych wspomnień nie mogę zamilczeć tutaj i nie wspomnieć o pani Szumlańskiej, która w zaraniu polskiej kooperacji spożywczej czyniła dla niej dużo, która postępowała tak, jak na „skrzętną gospodynię" przystało.

Rzecz charakterystyczna i zanotowania godna, że na zjazdach, organizowanych przez Związek Stowarzyszeń Spożywczych kobiety były temi, które najwięcej nacisku kładły na pracę kulturalno-oświatową.

We współdzielczych stowarzyszeniach rolniczych widzimy również pracę Polek, a w innych działach kooperatyw nie usuwają się także one od uczestnictwa...

I piśmiennictwo współdzielcze polskie ma to i owo kobiecie naszej do zawdzięczenia.

O federalistycznym kierunku pracy współdzielczej kobieta kobiety u nas pouczała.

Mamy tu na myśli panią z Habichów Starzeńską z jej znakomitą broszurą, wydaną w Krakowie w r. 1906 p. t. „Kooperacja spożywcza i jej zastosowanie w kraju naszym".

Pani K. Skrzyńska opowiedziała nam „W jaki sposób można wydostać się z nędzy"? Pani Zofja Daszyńska-Golińska, uniwersalniejsza i głębsza od innych

w swych cennych pracach wiele współdzielczości miejsca poświęciła. Autorka wierzy w dojście „przez spółki do przyszłego ustroju“.

Pani Marja Dąbrowska popularnie i barwnie opowiedziała nam o młodym ruchu kooperacyjnym w Finlandji.

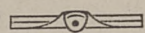
Wszystko to razem wskazuje o intensywności pracy nad współdzielczością, o jej umiłowaniu.

Wieloletnia niewola nie tylko same bohaterskie i dobre zrodziła rzeczy... Znieprawiała dusze, zacieśniała pogląd na niektóre sprawy.

Chęć zdobycia władzy i rządza złota nie ujawniła się może nigdzie w tak silnym stopniu, jak u nas. Nie pozostaje to i bez wpływu na sprawy współdzielcze.

Jedno z pisemek brukowych pod hasłem wrzaskliwego antysemityzmu poczęło powiększać kadry rodzinnego sklepikarstwa, a w zapale doszło do tego, że w nawoływaniu do handlu użyto takich demagogicznych argumentów jak ten, że sklepikarz mniej pracuje a więcej zarabia od zwykłego robotnika.

d. n.



Przybywa Wam stały doradca w Waszych pracach.

(Apel do młodych dziewcząt).



Przypominacie sobie zapewne młode czytelniczki „Bluszczu“ artykulik mój pod tytułem: „Co trzeba umieć, co trzeba wiedzieć“, aby prowadzić umiejętnie i planowo pracę w Związkach młodzieży wiejskiej.

W chwili, gdy go pisałam brakło tej młodzieży dwóch rzeczy, oto pisma, które mógłby czytać każdy z członków tej organizacji i pisma, mającego na celu spełnianie zadań podobnych tym, jakie sobie postawić może stały Poradnik dla wiejskich samouków.

Brak takich dwóch pism, bardzo poważnie odczuwała młodzież wiejska, domagała się ich od początku wojny, która przyniosła bujny rozwój tej organizacji w swoim kulturalnym dorobku, bo choć to brzmi na pozór paradoksalnie, ale Bellona służy niejednokrotnie i celom kultury.

Tak było u nas w tym wypadku o ile chodzi o organizowanie się młodzieży wiejskiej w stowarzyszenia, mające na celu: a) godziwą rozrywkę, b) samokształcenie, c) wychowanie społeczne i obywatelskie.

Dla coraz liczniejszego zastępu młodzieży wiejskiej, żyjącej szlachetniej i poważniej myślącej, w czwartym roku wojny na wiosnę w maju pomyślano o wydaniu dwóch pism, z których jedno, jest przeznaczone dla szerokich mas młodzieży ludowej, a drugie dla bardziej wyrobionych, uświadomionych jej członków oraz dla tych co ruchem młodzieży kierować mają.

— Jak się te pisma nazywają i gdzie je można zaprenumerować? — pytacie skwapliwie. — Pierwsze z nich popularniej pisane, które śmiało możecie dać do rąk każdej młodej dziewczynie i każdemu młodemu chłopcu wiejskiemu, to wskrzeszona, a bardzo już przed wojną popularna w kołach młodzieży wiejskiej „Drużyna“, redaktorem jej znany działacz ludowy, doskonały znawca jego psychiki Adam Chętnik. Redakcja w gmachu C. T. R. Kopernika №30. Drugie pismo nie tak popularne, poruszające zagadnienia ze wszystkich dziedzin życia zbiorowego, udzielające porad w zakresie: samokształcenia, wyboru książek, zaopatrywania czytelni, wyboru sztuk dla teatrów, informacji co do szkół zawodowych i ogólno-kształcących, programy kursów niedzielnych i wieczornych, szematy pogadanek oraz w innych sprawach, nasuwających się przy pracy oświatowej czynnych środowisk młodzieży ludowej.

Redaktorką tego pisma jest znana długoletnia pracownica na polu krzewienia kultury wśród ludu p. Irena Kosmowska, współpracownikami młodzież włościańska, tworząca zastęp coraz liczniejszy inteligentów ludowych. Redakcja „Świtu“ mieści się w lokalu Zrzeszenia Nauczycielstwa Polskich Szkół Początkowych w red: „Głosu Nauczycielskiego“. Marszałkowska № 123.

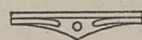
Z prawdziwą radością donoszę Wam o tej dobrej nowinie dla tych z Was, które nie mogąc dłużej patrzeć biernie na barbarzyńskie obyczaje młodzieży wiejskiej, na jej ciemnotę i gruby materjalizm wstępujecie w charakterze zwykłych członkiń do tych organizacyi młodzieży, nie po to, aby tam patronować w charakterze „jasnych panienek“ ale po to, aby dobrym przykładem i rzetelną pracą służyć, tym bardzo nieszczęśliwym i bardzo pomocy braterskiej potrzebującym kolegom i koleżankom z chat. Wiem, że w czasach walk społecznych, dzielących społeczeństwo nasze na różne obozy, praca taka dla mieszkanek białych dworów będzie trudna, ale rozpoczęta w poważnej myśli, rozumiana jako nakaz obowiązku narodowego, powinna być podjęta przez najlepsze jednostki z pośród młodzieży żeńskiej, ziemiańskiej, a do tych był skierowany mój artykulik: „Co trzeba umieć, co trzeba wiedzieć“, i pod ich adresem kieruje obecną informacyę, tyczącą się dwóch pism dla młodzieży wiejskiej, uzupełniających się wzajemnie.

Nie wątpię, że, po zapoznaniu się z treścią „Drużyny“ i „Świtu“ staniecie się gorliwymi zwolennikami tych pism, mających za cel wyzwalanie młodzieży ludowej z tych złych nałogów, w których wieki niedoli ją wychowały a ukazujących nakaz poety Krasińskiego „Cel życia szlachetnienie“ jako najwyższy ideał do którego dążyć ona ma w ciągu całego swego życia. Ale co ta młodzież ma zrobić dla Ojczyzny, której jest cząstką składową? Oto musi ona wychować w sobie pokolenie tworzące nowe życie w Polsce.

Bo prawdą jest rzetelną twierdzenie, które w jednym artykule „Świtu“ spotykamy: „że nie pomoże najdoskonalsza ustawa, najstaranniej obmyślony ustrój, jeżeli materjał ludzki jest lichy, jeżeli etyka i umysłowość jednostek stanowiących społeczeństwo stoją nizko“.

I jeszcze o jedno Was proszę — biorąc do ręki te pisma przeznaczone dla młodzieży ludowej strzeżcie się myśli próżnej, że one Wam samym nic dać nie są w stanie. Byłoby to szkodliwe nieporozumienie, na którem i Wasza „jaźń“ i cała praca w Związkach młodzieży ucierpieć by mogła poważnie, więc radzę Wam czytajcie uważnie te pisemka, i tak jakby one i dla Was pisane były, a tak postępując przygotujecie się szybko do pracy, użytecznej i szczerze demokratycznej pod hasłem „z ludem“ dla przyszłej odrodzonej w duchu Polski.

Stefanja Bojarska.



Z listów do Bluszczu.

Poznań w maju.

Poznań tonie w konwaljach! Okna „Flory“ i „Violi“ i inne kapią deszczem białych dzwonków. Rynek, plac Sapieżyński zarzucone pękami białych kwiatów. W tramwajach, dorożkach, w oknach, na balkonach, przy bluzkach i przy klapach żakietów, nie wykluczając i lśniących guzików mundurowych, wszędzie konwalje, konwalje... Wdzięczą się, czarują i pachną, o jak pachną!

Wogóle Poznań jest teraz ładnym. Najprzyjemniej jechać tak św. Marcinem w górę na platformie tramwaju, prosto w słońce. Lśnią się relsy, wiatr bije w twarz, po obu stronach ulicy barwią się kwiaty: laki brunatne i białe rododendrony, a w duszy jakoś przestrono i jasno, zupełnie, jakby trosk żadnych, ani kłopotów, ani wspomnień nie było. Są czasy, że ból człowiekiem targa, jak wicher — drzewem... i są chwile, że wszystko złe spłynie tak z duszy, jak woda i muł z nadbrzeżnych szuwarów, a myśl rozpręża się i rozkurcza skroś wszelkich pętających ją więzów. To są błyski prawdziwego, ogromnego szczęścia — bez źródła i bez celu!

W ten sposób można być szczęśliwym w Poznaniu często. Od czasu do czasu słyszymy jakiś dobry, piękny wykład, który daje pełnię intelektualnego zadowolenia, często doznaje się wrażeń artystycznych niepoślednich.

Zwiedzałem w tych dniach wystawę obrazów Tow. Przyj. Szt. Pięk. i trudno było mi odejść — nie mogłem — zawracałem kilkakrotnie i raz jeszcze przyszedłem nazajutrz. Popularnie mówi się u nas „widziałem, oglądałem Jacka“, to znaczy, że wystawiono trzy obrazy Malczewskiego, z których, szczególniej ostatni p. t. „Finał“ oczarował mnie zupełnie. Przedstawia on kobietę w pełnym rozwoju piękności, o cudnej karnacji, o błyszczącej w słońcu złotej szyi i złoto-burych, jak dojrzała pszenica włosach, o świeżych, dziewczęcych a już okrutnych ustach, o jasnem czole i myślących oczach, z wspaniale zarysowanemi brwiami, o palcach tak żywych, jakby w tej chwili niemi ruszała i o wyrazie twarzy takim, właśnie takim, którego się nie zapomina! To demon, to zła moc zaklęta w piękno i dlatego tak pociągająca, tak urocza! Malczewski dał jej pazury niepotrzebne — ten uśmiech rani głębiej

i prędzej zabija, każde drgnienie jej muskułów, każdy półuśmiech zwycięża dusze ludzkie i rzuca je sobie do stóp, a ona patrzy z góry z zachwytem i ciekawością. Cały tryptyk zatytułowano „Historja miłości“, a artysta kolorytem, dekoracją, nastrojem doskonale sharmonizował wszystkie trzy obrazy, koncentrując jednakże największej piękna i siły w ostatnim. Jak cudnie odbija błękit jej skrzydeł, od zwieszającej się gałęzi różowej akacyi. Jedyny zarzut, jaki mogłem zrobić obrazowi, lecz zastrzegam się, że malarzem nie jestem — to ten, że postać jest, jakby z dwóch połów złożona, propocją nogi nie odpowiadają rękom, zupełnie, jakby do innej należały osoby — wrażenie to potęguje jeszcze wygięcie dziwne ciała. Jednakże, jestem pod urokiem tworu, czułem się szczęśliwym, mogąc oglądać rzecz tak piękną. Dla innych obrazów muszę naturalnie pójść raz jeszcze na wystawę. Z królestwa palety przenieśliśmy się wczoraj w dziedzinę tonów i dźwięków słuchając mianowicie „Requiem Mozarta“ chóru mieszanego i orkiestry, pod batutą ks. dr. Gieburowskiego. Co do doboru sił należałoby zrobić pewne zastrzeżenia, co do wyszkolenia jednakże i wykonania nie czuję się kompetentnym do czynienia jakichkolwiek uwag. Właściwie dla zgłębienia takiego dzieła trzeba było bywać na próbach, zapoznać się z pojedyńczemi motywami melodyi, wrażenia moje były więc raczej surowe, jak i większości słuchaczy niefachowców, a nie mających czasu poświęcać się osobnym studjom muzycznym. Zaszyłem się w kąt i skupiłem myśl i rzeczywiście całość przemówiła mi raczej do myśli, do rozumu, niż do serca. Nie było tu żałoby, tęsknoty, żalu, na dwóch innych zupełnie strunach wygrał swe „Requiem“ Mozart — to były: strach i chwała. Część pierwsza — rozpoczynająca się szerokiem „requiem aeternam„ przechodzi poprzez niespokojne „kyrje eleison“ do groźnego, druzgocącego, „dies irae“. Ziemia chwieje się w posadach, trąby grzmią, ludzkość w panice ostatecznej tarza się rozpaczliwie w prochu własnym, a wśród huku piorunów i przeciągłego wichrów jęku ukazuje się, „Rex tremendae majestatis“. I wtedy nagle zrywa się z głębin duszy człowieczej przeciągły, bólem i serdeczną udręką brzemienny, a jednak drgający nadzieją okrzyk: „salva me“. — Ratuj, bo ty jeden ratować możesz z otchłani wiecznej, z wiekuistej zatraty, a potem tęskna i rzewna prośba, „recordare Jesu pie“. Wspomnij, że szukałeś mnie spracowany, żem jest przyczyną twej ziemskiej wędrówki, więc nie gub mnie na wieki. Lecz sąd odbywa się mimo tego i... po kilku chwilach oczekiwania pada nagle od tronu wyrok, przekleństwo! „Confutatis maledictis“—straszne. Zdaje się, że tam kędyś runęły z przestrzeni w dół do infernów miliony nieszczęśników, że lecą wciąż jeszcze z rozpaczliwem skowytem, padają tysiącami, a z góry brzmi wciąż, „maledictum“! beznadziejne, niedokończone w żadnej przyszłości. Sąd minął. Tym, którzy pozostali na prawicy, daj pokój: „dona eis requiem“.

Tu nastąpiła przerwa dłuższa, gdyż druga część koncertu miała inny zupełnie nastrój.

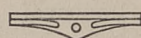
Oto On, „Rex gloriae i Agnus Dei“ wprowadza rzesze zbawionych do świetlanych, zgotowanych im od wieków niebios. Jako obiecał Abrahamowi, „promisisti, promisisti“ tak przeprowadził ich od śmierci do żywota! A na progu niebios wita ich anioł roztwierając oddźwierza i błogosławiąc ich: „Benedictus, qui venit in nomine Domini“. A oni wszyscy serc wezbranych uciszyć nie mogą, serc wezbranych weselem, szczęściem, tryumfem, więc rwie się pieśń, pieśń stugłosa, jakby z milionów westchnień szczęścia złożona, potężna, wstrząsająca wiązaniami świata: „Sanctus, Sanctus, Sanctus... Hosanna in excelsis!“... A potem, gdy zamknęło się już sklepienie niebieskie, brzmi spokojniejsze, coraz rozlewniejsze, a ziemskie zupełnie „requiem aeternam“.

Zasługa dyrygenta jest wielką, dlatego przedewszystkiem, że podnosi on, takimi koncertami poziom kulturalny u nas, uczy umiłowania rzeczy głębokich i wartościowych, nastraja społeczeństwo na wyższy ton. Szkoda tylko, że lokal nie był odpowiedni i, że partye solowe, oprócz fascynującego zawsze altu Janowskiej nie stały na wysokości zadania.

Przeżyłem wczoraj rzeczywiście chwile podniosłe, i, wracając w ciepły, cichy wieczór do domu miałem jeszcze struny duszy rozegrane. Było wcześnie, boć u nas zegary posunięte, więc niebo złociło się jeszcze na zachodzie łuną. Jakiś żółty poblask kładł się na wszystko, na szare kamienice, na asfalt, na podmiejskie murawy i w dusze wsiąkał i pokój stawał się w nas samych.

Echa zdawały się nieść od zorzy ciche finały melodyi wiecznego odpocznienia i wiecznej światłości!...

Zbigniew Topór.



W KALEJDOSKOPIE SCENY.



Bezrobocie zecerów, trwające przez kilka tygodni, uniemożliwiło zdawania sprawy z tego, co się tymczasem działo w świecie teatralnym. Premjer było w tym czasie sporo, bo w teatrze Polskim aż trzy, w Małym dwie, w Rozmaitościach i Nowościach po jednej.

Teatr Rozmaitości wystąpił tymczasem z premjerą, budzącą duże zaciekawienie. Autor wystawionej tam „Gorącej krwi“ p. Mieczysław Fjałkowski jest nowicjuszem na polu dramatopisarstwa, lecz przyznać mu trzeba, że w tej pierwszej gonitwie na polu chwały zdobył sobie zasłużony wieniec. Talent to jędrny, zdrowy, mocny, organizacja twórcza tem ciekawsza że, zgoła. powiedziałbym, nie współczesna Coś z Blizińskiego, Przybylskiego i Bałuckiego nawet, ale raczej pokrewna autorowi „Pana Damazego“ pod wieloma względami przypominająca go, a zarazem mająca dużo rysów podobnych do tych, jakie znamionują twórczość autorów „Wicka i Wacka“ i „Domu Otwartego“ w dobie największego jej rozkwitu. Blizińskiemu pan Fjałkowski niewątpliwie jest bliższy: zastanawia go bowiem życie, jego treść istotna, głębsza, nie sama powierzchnia, obserwuje ludzi i podpatruje chętnie ich słabostki, ale umie odnaleźć ich dobre strony. Humor jego ma prostotę, tężyznę dawniejszą, szczery jest, słoneczny, pogodny, bez grymasu ironji. P. Fjałkowski umie się śmiać bardzo szczerze, jowialnie, nigdy trywialnie, ale tak po staropolsku, z całego serca — to go znów spokrewnia z Przybylskim i Bałuckim, od których odcina się kulturą nowoczesną, przebijającą głównie w lekkiej, zręcznej, budowie sztuki, polegającej na żywej, prowadzonej w wybornych dyalogach, akcji. Sztuka ma sentyment i humor, owiana jest słoneczną cichością wsi dalekiej, ukochanej wsi polskiej z lat przedwojennych, kiedy to się tak dobrze, tak spokojnie żyło w otoczeniu najbliższych, na tle przyrody, w zapomnieniu słodkiem o troskach, burzach szalejących na wielkim świecie... Koń dobry, dubeltówka, psy wierne, szumiące zboża i lasy, łąk, szmaragdowe, rozkwitnięte nad brzegiem modrych rzek — ot, i cały świat szlachcica, wszystko, co ukochał, do czego przywarł duszą i sercem od wieków... W sztuce p. Fjałkowskiego dźwięczy wyraziście nuta serdecznego przywiązania do wsi. Widać, że autor tę wieś zna i kocha: maluje tło delikatnie, z wielką umiejętnością jaką daje talent szczery wsparty o serdeczne uczucie. Może są w tej sztuce jakie dłużyzny w rozmowach, może niepotrzebna jest ostatnia scena (zakończenie aktu III — wejście wieśniaczki), może są i inne jeszcze wady, a sama treść komedji nikła jest wątła... ale nad całością unosi się taki powiew szczerej poezji, czerpiącej swoje źródło w głębokiem odczuciu wsi polskiej, w sztuce jest tyle słońca, pogody, życia tak daleko odbiega ona od tych wszystkich sztuk nowoczesnych, na trójkącie małżeńskim zbudowanych — że dłonie mimowoli składają się do oklasku, a na ustach wykwita uśmiech radosny... Jasna jest, jak woda źródlana, czysta i przedziwnie świeża sztuka p. Fjałkowskiego; wydaje się ona być anachronizmem, — komedją pisaną przed laty, gdyśmy jeszcze pogodnie na świat patrzeć umieli — i może to jej największa zaleta.

Grane jest po mistrzowsku. Tak pełnej czaru, prostoty i pogody oraz werwy i prawdziwie bujnego temperamentu dziewczyny, jak ją stwarza p. Lubicz — Sarnowska któż nie pokocha? A w świetnej grze Frenkla czyż nie dźwięczą echa tych słynnych czasów, gdy na scenie teatru Rozmaitości grywali Żółkowski, Ostrowski, Królikowski i inni? Frenkiel daje postać tak żywą, ma tyle humoru, werwy, życia, że wprost bierze w lenno widza. wraz z swoją partnerką p. Sarnowską — każe mu zapomnieć o tem, że jest w teatrze. A pp. Leszczyński i Różycki — obaj doskonali; każdy daje typ w swoim rodzaju, wiernie zaobserwowany i odtworzony. I p. Pichorówna, utalentowana i rutynowana artystka dzielnie dotrzymuje im pola, grając wybornie; miłą sylwetkę daje

wreszcie p. Pomian-Borodziczowa. Całość, wyreżyserowana, wystawiona jaknajlepiej. W teatrze Polskim po „Dożywociu“ Fredry granem może nietyle stylowo, ile z humorem (znakomity był dyr. Solski w roli Łatki) wystawiono „Kaprysy Marjanny“ Musseta i „Marynę“ Ludwika Morstina.

Sztuka Musseta nie nadaje się, naszem zdaniem, do grania w chwili obecnej. Chyba w jakimś małym teatrze artystycznym, w niewielkiej sali, grana stylowo, w jednolitym tonie, mogłaby wzbudzić pewne zainteresowanie w szczupłem kole miłośników teatru, pragnących oglądać rzeczy z innej epoki... Dla szerszej publiczności jest zbyt rozwlekła, nuży i nudzi. Grano ją w teatrze Polskim bardzo nierówno. Może najlepsze były pp. Dulębianka i Kozłowska, inni wykonawcy grali każdy po swojemu, nie troszcząc się o to, aby nadać grze ton i barwę jednolitą. „Maryna“ Morstina jest nieudolną próbą przeniesienia w ramy obrazu scenicznego artykułu tendencyjno-polemicznego. Tak zwanych „prawd“ zawartych w sztuce utalentowanego autora „Lilji“ nikt jednak już dziś nie obala i nie zwalcza, a bohaterstwo było i będzie uznawane — na każdem polu, w każdym wypadku. Niema więc o co zgoła kopji kruszyć. W sztuce błąkają się echa „Warszawianki“ Wyspiańskiego i „Księdza Marka“ Słowackiego; budowa sztuki luźna, typy mało oryginalne, język napuszony, nieszczery. Niekiedy błyśnie żywiej jakiś dźwięk, mocniej i znów szarzyzna i nuda. Grano sztukę Morstina niepewnie, bez przekonania. Pp. Biegański i Ziembiński dali sylwetki udatne, trafne i ładne. Pp. Popławski i Bachnerówna robili, co mogli. Dyrektor Solski stworzył świetną sylwetkę; natomiast pani Gromnicka, zresztą zdolna artystką, grała na jednym toniku całą rolę. Ale bo też i rola to arcyniewdzięczna. Patos, nieszczera gadatliwość, ani psychologji, ani prostoty. P. Gromnicka winna się wogóle ról dramatycynych wystrzegać: od takiej monotonji krok tylko do manjery. A byłaby szkoda! Ostatnią premjerą w Polskim była sztuka Moljera „Pan de Pourceaugnac“. Zaznaczymy tutaj świetną grę i reżyserję Zelwerowicza, który zjechał do Warszawy w gościnę. Zespół stanowili pp. Jasińska, Słubicka, Tatarkiewiczówna, Benda, Tatarkiewicz, Maszyński, Zajączkowski, Machalski; napiszemy zresztą o tem widowisku obszerniej w następnym artykule.

Z kolei przechodzę do „Miłości i loterji“ Schillera, obok „Dożywocia“ granej. Rzecz tak zatytułowana należy do kategorji włoskich widowisk ludowych („commedia dell'arte„). Była niegdyś przez aktorów improwizowana na motywach Florjana, bajkopisarza i sielanek twórcy z XVIII w. Występuje w niej typowy, ścisły w swej stylowości Arlecchino, przewrotny Pucinello (nosi on tutaj miano Scapina) oraz urocza Colombina, zwana tu Argentyną. Wielce utalentowany kompozytor i poeta Leon Schiller snując na kanwie Florjana opracował sztukę i stworzył rzecz piękną i zajmującą, widowisko pełne dowcipu, sentymentu i stylu. Tylko prawdziwy artysta, jakim jest p. Schiller, mógł tak dokładnie wczuć się w styl i charakter epoki i ozdobić sztukę ilustracją muzyczną doskonale dobraną, dając jednocześnie archaicznemu utworowi dużo własnych pomysłów twórczych, które odnowiły sztukę, wiążąc przeszłości akordy z odmienną teraźniejszością.

Trzeba przyznać, że wrażenia dopełniała gra artystów. P. Modrzewska, była uroczą Argentyną, i rozwinęła cały zasób zalet: grała z poczuciem stylu, prostotą, szczerością i finezją. P. Maszyński miał humor i przewrotność chytrą Scapina i jego chciwość oraz starczą żądzę, umiał przedstawić w sposób zajmujący i dyskretny. P. Tatarkiewicz, który w teatrze Polskim rzadko znajduje właściwe pole do popisu, w roli Arlekina był doskonały, serdeczne uczucie ku Argentynie uwydatnił wybornie. Reżyserja spełniła również swe zadanie bez zarzutu.

W teatrze Małym wystawiono w ostatnich czasach z dużem powodzeniem „Papę“ Caillaveta i de Flersa, gdzie świetnie grał tytułową rolę p. Kindler, a obok niego doskonale się spisywali pp. Mrozińska, Chmielewski i Ratowski; po „Papie“ grano dowcipną, lecz nieco trywialną krotochwilę „Hiszpańska Mucha“ a następnie „Na tropie“ Wiktora Sardou. Lekka komedja, oparta na wątłym motywie, z którego talent świetny autora potrafił wysnuć tyle komicznych sytuacji i dowcipnych powikłań nader żywej akcji, że widz — słuchacz śmieje się bezustanku.

Wybornie wyreżyserowana — komedja ta grana doskonale przez zespół artystów pp. Mrozińską, Gzylewską, Ratowskiego, Kindlera, Buszyńskiego zeszła z afisza w pełni powodzenia, ustępując miejsca zręcznej, pełnej dowcipu komedji de Croisseta „Kładka“.

Teatr Letni zyskał w „Sprawie Kajzera“ nową sztukę kasową. Jest to lekka satyra na sądownictwo i adwokatów, trochę ciężko skonstruowana, lecz nie pozbawiona humoru i zacięcia. Grana jest bardzo dobrze, zwłaszcza pp. Knapczyński, Grabowski, Trapszo (ten ostatni szczególniej daje typ świetny) zasługują na uznanie. P. Bruczówna gra niezdecydowanie, chwieje się, to jest charakterystyczna, to liryczna, nie umie dać jednolitego typu. Toż samo można powiedzieć o p. Kuncewiczu, który gra rolę mecenasa. Dobre epizody dają pp. Kiernicki i Małkowski.

Teatr na Pradze wystawił „Zbójców“ Schillera z pp. Zachorską, Kęckim, Nawrockim i Zejdowskim w rolach głównych; świetna tragedja zyskała wielkie powodzenie.

T. Kończyc.

Z WYDAWNICTW M. ARCTA.

Kozłowski Wł. M.

Krótki zarys logiki.

(wraz z elementami ideolografii logicznej).

Po obszernej książce swojej p. t. „Podstawy logiki“ napisał Wł. M. Kozłowski nową pracę zawierającą treściwe zestawienie głównych zasad logiki ogólnej. Przeznaczona jest, jako środek powtórzenia i przypomnienia dla tych, którzy słuchali bardziej rozwiniętego wykładu. Nauczyciel wprowadzający ją, jako podręcznik szkolny znajdzie to rozwinięcie właśnie w „Podstawach logiki“. Ponieważ nikt nie nauczy się porządnie logiki bez przerobienia pewnej ilości zadań, przeto dołączone zostały do pracy niniejszej, jak również podano główne zasady ideografii logicznej, zajmującej dziś w nauce logiki stanowisko wybitne.

Książka przeznaczona jest głównie dla seminarzystów i samouków.

Ciembroniewicz Józef.

Jak wychowywać dzieci w szkole elementarnej.

(Podręcznik praktyczny dla nauczycieli).

Na 115 stronicach, w formie jasnej i zwięzłej, poucza autor, znany pedagog i wychowawca, Józef Ciembroniewicz, jak współcześnie wychowywać dzieci w szkole elementarnej.

W krótkich słowach objęte jest wszystko, że przytoczymy tytuły ważniejsze rozdziałów: O wychowaniu i wychowawcy; Wychowanie szkolne; Wpływ środowiska na wychowanie; Pomocnicy nauczyciela; Zewnętrzny wygląd szkoły; Autorytet nauczyciela a autonomja szkolna; Kształcenie i wychowanie woli; Uczucia; Wychowanie dobrych obywateli; Posłuszeństwo; O panowaniu nad sobą; Wyrabianie samodzielności; Przyzwyczajanie do czynienia dobrze; Zamiłowanie prawdy; Zamiłowanie pracy; Poszanowanie cudzej własności; Przyzwyczajanie do oszczędności; Popieranie przemysłu krajowego; Szanowanie swojszczyzny; Wychowanie fizyczne; Przepisy zachowania higjeny w szkołach.

Tak pożyteczna i na czasie książeczka powinna się znaleźć w rękach nauczyciela i wychowawcy.

Haberkantówna W. Dr.

Z naszych wycieczek.

Z 39 rycinami.

Planowe prowadzenie wycieczek szkolnych, szkół początkowych, średnich i kursów dla dorosłych, od czasu rozwinięcia ruchu wycieczkowego, było troską wszystkich nauczycieli. Zwłaszcza gdy chodziło o wycieczki przyrodnicze, brak odpowiednich wskazówek metodycznych dawał się bardzo we znaki.

Potrzebie tej zaradziła znakomicie Dr. W. Haberkantówna, wydając doskonale opracowaną książkę p. t. „Z naszych wycieczek“, skreśloną barwnym stylem na podstawie własnej praktyki, nabytej przy prowadzeniu licznych wycieczek z dziećmi, młodzieżą szkolną i z dorosłymi. Opis wycieczek poprzedzają wskazówki metodyczne, w których autorka uczy jak „otworzyć oczy na to, co widzimy dookoła“, jak zachęcić, zainteresować, pobudzić do poznania zarówno przyrody, jak życia współczesnego i pamiątek historycznych.

Jest bardzo pożądane, aby książka ta znalazła się w rękach każdego nauczyciela i wychowawcy.

WACŁAW ROGOWICZ.

CHÓR PIELGRZYMÓW.

Dramat w 1 akcie.

3)

SĘDZIMIR (*wzrusza ramionami*).

ANDRZEJ (*j. w.*) ...zmienić tak zasadniczo swą rolę...

SĘDZIMIR. Dalibóg, nie rozumiem w miłości takich skrupułów! (*Pauza*). Chyba, że... (*pauza*). Ile Tonia ma lat?

ANDRZEJ (*wytrzeźwiony tem pytaniem*). Dwadzieścia pięć skończy we wrześniu.

SĘDZIMIR (*poufnie*). To jednak między wami jest szesnaście lat różnicy.

ANDRZEJ (*wesoło*). Sądzisz, że to mnie przestrasza? (*klepiąc go po ramieniu*). Pan dobrodziej ma zbyt złe o mnie wyobrażenie.

SĘDZIMIR (*poważnie*). Wiem, że dziś jesteś w pełni sił męskich ale powtarzam swoje: poco było zwlekać tyle czasu? Za lat dziesięć Tonia będzie miała dopiero trzydzieści pięć, dla kobiet z temperamentem i które dość długo trwały w panieństwie wiek pono niebezpieczny, ty zaś będziesz już w moim wieku...

ANDRZEJ (*j. w.*). Cóż za przezorność!... Co będzie za lat dziesięć?... I pięćdziesiątka mnie nie przeraża, mój drogi.

SĘDZIMIR. Powinszować pewności siebie.

ANDRZEJ (*j. w.*). Żyłem, widzisz... oszczędnie.

SĘDZIMIR (*smętnie*). Nie każdy tak potrafił.

ANDRZEJ (*poufale*). Wiem coś o tem, lowelasie.

SĘDZIMIR (*j. w.*). Tempi passati.

ANDRZEJ (*nieco złośliwie*). W gruncie rzeczy, skoro kobiety są ci już dziś obojętne...

SĘDZIMIR (*zły*). Djabła tam! (*Pauza*). Eh, nie lubię o tem gadać. Rad jestem że, doczekałem się nareszcie z was pociechy. (*Jowialnie*). Nieraz, przyznam ci się, w głowę zachodziłem, co was do licha powstrzymywało do tej pory, czego się oboje męczycie. Czasem to myślałem, patrząc na was, że albo ja już zupełnie zgłupiałem, albo tobie jednej klepki brakuje!

ANDRZEJ (*który nagle spochmurniał, gdy Sędzimir zaczął mówić: „doczekałem się nareszcie...“ zamknięty w sobie, posępnie*). Mam, Janie, o jedną zawiele. (*Pauza. Boleśnie*). Chętniebym ją odstąpić każdemu, ktoby taki ciężar wziąć na siebie chciał...

SĘDZIMIR (*z serdeczną troską*). No, widzisz, czy nie miałem racji, że przygniata cię jakiś ciężar wewnętrzny? Andrzeju, zawierz mi, zdejmij go z siebie, może ja ci się w tem na co przydam...

ANDRZEJ (*ściska mu wmilczeniu dłoń. Pauza*). Dałbym za to wiele, bardzo wiele, gdybym mógł ten kamień z serca zrzucić. (*Rozkłada beznadziejnie ręce i wstaje. Postępuje parę kroków i patrzy w ogród. Nagle staje przed Sędzimirem i patrzy mu prosto w oczy*). Janie, czy ty wierzysz w przeczucia?

SĘDZIMIR (*po namyśle, solennie*). W sprawach wielkiej wagi uczuciowej—zawsze. (*Chwilę milczą obaj. Pokój zalewa purpurowa łuna zachodu*).

ANDRZEJ (*z ciężkiem westchnieniem*). Widzisz... tego kamienia ja zdjąć z siebie nie mogę, bo... (*szybko, z lękiem*) ten kamień wisi nademną. Ja czuję jeno, jak serce moje kłuje teraz ustawicznie niby cieniutkie ostrze sztyletu... Kiedy ten kamień spadnie — ostrze przebije mi serce na wylot... (*z przerażeniem*) moje serce... i Toni!

SĘDZIMIR. Co za myśli?

ANDRZEJ (*beznadziejnie*). A ten kamień spuści na nasze serca w stosownej chwili człowiek, którego i ty, i my znamy dobrze, który się mieni naszym przyjacielem, a skrycie mnie (*z mocą*) nienawidzi!

SĘDZIMIR. Przywidzenia!

ANDRZEJ (*pogrążony w swoją myśl*). Nie przerywaj. Nie przerywaj. To ostrze dotyka teraz mego serca i cofa się, dotyka i cofa... stąd rytm mego lęku i otuchy; czyjaś wola puściła je w ruch. (*Gorączkowo*). I ja wiem — czyja, wiem, kto jest mym wrogiem dlatego tylko, że mi zazdrości wszystkiego: talentu, sławy, dostatku, a przedewszystkiem... uczucia Toni! Ten zawistnik to... nie domyślasz się?

SĘDZIMIR. Czyżby Kaleński?

ANDRZEJ. Kaleński.

(*Długa pauza*).

SĘDZIMIR (*otrząsa się z chwilowego przygnębienia*). Nabiłeś sobie głowę niewiadomo czem. Schorowany, zgorzkniały biedak, malkontent z natury, Kaleński wszystkiego wszystkim zazdrości, rozgoryczony przeciw całemu światu — czemu trudno się zresztą dziwić. Ale żeby ten człowiek miał zagrażać twemu, waszemu szczęściu, życiu nawet!— ii, to doprawdy egzaltacja twoich napiętych nerwów! (*Energicznie*). Kpij sobie z takich przeczuć, Andrzeju!

ANDRZEJ (*głucho*). Nie mogę. (*Pauza*) Sam mówiłeś, że w przeczucia w bardzo ważnych sprawach...

SĘDZIMIR (*przerywa mu*). No, tak sobie powiedziałem. (*Poważnie*). Zresztą — czy masz jakie konkretne powody obawy, czy miałeś z nim jaki zatarg, czy... wiąże was jaka tajemnica.

ANDRZEJ (*spokojnie*). Żadnego zatargu z tym człowiekiem nie miałem, nie poczuwam się do żadnej względem niego winy. Wspólnej tajemnicy nie mamy.

SĘDZIMIR (*badawczo*). Dziwnym takim tonem powiedziałeś to słowo „tajemnicy“...

ANDRZEJ (*niespokojnie*), Czyż to słowo można wymawiać tak, jak inne? (*Naglącо*). Czyż każdy z nas nie nosi w sobie jakiejś tajemnicy, czegoś takiego, czego nie chce, nie może wyjawić?...

SĘDZIMIR. Zapewne.

ANDRZEJ (*w posępnej zadumie*). Czyś ty, Janie, przyglądał się kiedy bacznie starym topolom nadwiślańskim, tam, przy naszych mazowieckich gościńcach? Rośnie ci takie drzewo, grube już, stare, konarzyste, korzenie, myślisz, powinno mieć już głęboko, głęboko ukryte — aż tu naraz, zdaleka od pnia, ni stąd ni zowąd wychynie garbem jeden korzeń na powierzchnię ziemi. (*Pauza*). Człowiek, gdy się potknie o taką... zdradziecką niespodziankę, to może...

SĘDZIMIR (*kończy szybko*). Guza sobie nabić conajwyżej — i kwita.

ANDRZEJ. Powiadasz?... (*kręci przecząco głową. Dzwonek z głębi mieszkania*).

ANDRZEJ (*niespokojnie*). Kto to może być?

SĘDZIMIR. Ktoś z listem, lub jakiś zapóźniony gość. Zostań tu, ja otworzę. (*wychodzi na prawo*).

ANDRZEJ (*rzuca szybko za Sędzimirem*). Jeśli ktoś z wizytą—niema mnie w domu. (*Zamyślony spaceruje po pokoju*).

SĘDZIMIR (*zjawia się po długiej chwili z listem w ręce. Podaje Andrzejowi*). Jakiś wygolony staruszek czeka na odpowiedź. Mitra na kopercie.

ANDRZEJ (*rozrywa kopertę, czyta zdumiony. Do Sędzimira*). Książe Domenico Gesso pyta, czy mimo spóźnionej pory może złożyć mi osobiście życzenia. Przeprasza, że był cały dzień zajęty... Hm, co tu zrobić?... Strasznie jestem teraz nieusposobiony do przyjmowania obcych ludzi. A znowu nie wypada, trudno wykręcić się...

SĘDZIMIR (*przejęty*). Ależ, naturalnie, musisz go przyjąć: książe jest takim twoim wielbicielem... I tobie to dobrze zrobi, jak się trochę rozerwiesz rozmową o innych sprawach.

ANDRZEJ. Eh... (*macha ręką*).

SĘDZIMIR (*nalegając*). Bardzo grzecznie ze strony księcia. Powiem staremu, że maestro czeka na jego pana?

ANDRZEJ. No, to już ja sam z nim się rozmówię.

SĘDZIMIR. Jak uważasz.

ANDRZEJ (*wychodzi naprawo*).

SĘDZIMIR (*bierze ze stołu zgasłe podczas rozmowy cygaro i zapala je gwałtownie*). Psiakrew! Zgasło. Straci smak.

ANDRZEJ (*wchodząc po chwili*). Ma przybyć niebawem.

SĘDZIMIR. No, to ja wam nie będę przeszkadzał. Zaraz się wynoszę.

ANDRZEJ. Zostań, Janie. Przecie znasz go. Dokąd się tak spieszysz?

SĘDZIMIR (*wymijająco*). Muszę zajść jeszcze do kawiarni, zobaczyć się z pewną osobą, (*tajemniczo*) w sprawie programu dzisiejszego wieczoru.

ANDRZEJ (*z uśmiechem*). Punkt główny jużeśmy przecież ułożyli według twego życzenia. Jak spędzimy czas przed kolacją, zadecyduje Tonia, gdy wróci. Czy masz jaki swój projekt?

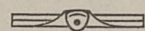
SĘDZIMIR. Może i mam, ale mi pary z gęby puścić nie wolno, bo, gdybym się wygadał, Tonia uszy by mi oberwała — i miałaby świętą rację. Więc nie wódź mnie na pokuszenie.

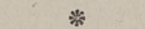
ANDRZEJ (*j. w.*). Cóż to za sekrety? (*Pauza*). Nie będę się zresztą dopytywał, skoro to sekret, tylko, mój kochany, nie zasiedź się swoim zwyczajem w kawiarni, bo Tonia niezadługo powinna tu być z powrotem. (*Naraz, jakby uderzony jakąś myślą, z niepokojem chwyta Sędzimira za ramię*). Nie, Janie, odłóż

ten swój pilny interes na pół godziny, bo... o ważniejszą rzecz muszę cię prosić. Zależy mi bardzo, byś to załatwił zaraz.

SĘDZIMIR (*zdumiony, poważnie*). Słucham cię.

ANDRZEJ. Idź, mój drogi, natychmiast do Kaleńskiego po Tonię — dobrze? (*wpół do siebie, z hamowanym lękiem*). Nie opuszcza mnie myśl... no, mówiłem ci już... (*Z determinacją*). Nie chcę, żeby ten człowiek mógł dziś długo rozmawiać bez świadków z moją narzeczoną.





Na dworze noc maju srebrzysta i cicha,
przez okno spoglądam w zadumie — — —
pierś twoja w śnie słodkem leciuchno oddycha,
a moja tak zasnąć nie umie.

Trzepoce się serce, jak ptak uwięziony,
na srebrne chce lecieć topiele,
na siane gwiazdami błękitne zagony —
i ciebie zaprasza nieśmiele.

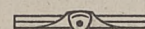
Na dworze noc maju srebrzysta i cicha —
chodź ze mną, spójrz ze mną dokoła...
Pierś twoja w śnie słodkim leciuchno oddycha,
a moja tak zasnąć nie zdoła.

Przypadnę do ust twych ustami drżącemi,
po świetlnej powiodę cię drodze
na gwiazdy i kwiaty, daleko od ziemi —
ze snów twych dla moich cię zbudzę.

Lecz czyje piękniejsze w północnej tej chwili?
W sny moje łzy wprzędłam niechcący — — —
Gdy spojrzysz się na mnie, twych ócz nieomyl-
mych ust pocałunek gorący — — —

Na dworze noz maju rozkoszna i cicha...
W okiennej zostaję framudze...
Pierś twoja w śnie słodkim leciuchno oddycha...
Do tęsknot cię moich nie zbudzę...

Zofja Wojnarowska.



ORY JELSKA.

EWUNIA. 8)



Uczucie przykrości rozwiało się. Tylko teraz staram się zawsze by któreś z rodziców było ciągle z nami. On zdaje się to zauważył, śledzi mnie. Czuję na sobie ciągle badawcze oczy jego, uporczywe oczy krótkowidza, zabieram wtedy swoją robotę i idę...

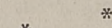
Porywa mnie taki szalony niepokój, taki strach, że chciałabym mu krzyknąć: Nie! nie! za nic!

Wszelkiemi siłami staram zapanować nad sobą, odwlec chwilę stanowczej rozmowy. Czego ja się spodziewam? Na co czekam? Czemu mnie taka rozpacz ogarnia, gdy innym tak łatwo? krąży w udręczonym mózgu.

Idę przytulić się do mamy, ale ona patrzy na mnie zdziwiona, nie rozumie!

Jestem strasznie sama...

I ciężko mi!...



Stało się!

Przyjechał wczoraj dość wcześnie, mama nie wróciła jeszcze z nieszporów, ojciec jak zwykle spał po obiedzie. Siedziałam sama w małym saloniku. Wszedł cicho, dywan stłumił kroki, zobaczyłam go gdy już stał przedemną. Zerwałam się.

— Zaraz powiem papie, ża pan przyjechał! — byłam zmieszana.

— Panno Ewo chwileczkę, niech pani ojca nie budzi. — Wziął mnie za obie ręce, zmusił bym usiadła.

Posłusznie usiadłam, nie uniknę już...

— Czego się dziecko boi, przecie dziecko wie, że się je bardzo, bardzo kocha, że chciało by się usunąć każdy cierń z jej drogi, wszystko cokolwiekby zaboleć ją mogło... Biedactwo,.. taką ma chorą duszyczkę, taką smutną, wypielęgnowaną nadmiarem wrażliwości, obcą swemu otoczeniu, więc jej zimno, lada złośliwy podmuch wiatru ból jej zadaje. Dać mi tą małą drogą duszyczkę niech ją miłość moja rozgrzeje... wielka miłość... panno Ewuniu!...

Trzyma moje ręce, nie drożę się.

Oparta głową o jego ramię płaczę cicho!

Ton głosu jego łagodny kołysze, zabliźnia rany, nerwy jak struny naciągnięte powoli wracają do porządku, potrzeba mi było trochę serca, więc pławię się w jego uczuciu, nie przerywam, a on mi mówi... że nawet nie marzył o takiem kochaniu wprawdzie chciał się ożenić i Kamilka postanowiła mu żonę wyszukać, ale przyjechał tu nie bardzo chętnie, nie ufał jej wyborowi i odrazu od pierwszego wieczoru zdobyłam go sobie. Teraz już nie rozumie życia bezemnie, ma wiele sił, energji, planów na przyszłość, będzie pracował z zapałem...

— Ale do szczęścia potrzebne mi tych dwoje łapek, niech to będzie moją nagrodą, innej nie pragnę.

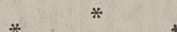
Leciutko je gładzi.

— Pan mnie jeszcze nie zna, zaczekajmy, po co się spieszyć, długie lata przed nami, wie pan ja sama się boję czy dobrą żoną być potrafię. Taką mam nieznośną naturę, co w żadne karby nie da się ująć, nadewszystko kocham swobodę, a małżeństwo choćby najlepsze zawsze niewola. Dla pana mam wiele, wiele przyjaźni, więc mi pana żal, po co mnie pan wybrał? —

Czuję, że mówię nieszczerze i wstyd mi, właśnie cieszę się, że mnie wśród tylu innych wyróżnił, miłość jego pochlebia mi, więc milknę, przymykam oczy i słucham.

Ze słów jego idzie wielki spokój, wielkie uczucie. Zdaję sobie jasno sprawę, nie kocham go, stanowczo nie, ale widzę całą jego dobroć i ona podbija mnie zupełnie. Przywiążę się do niego, łatwo nam będzie zżyć się, więc lepiej mi powinno być niż tu.

Jestem znpełnie zdecydowana. Vogue la galère.



Nic ciekawego, dnie wloką się monotonnie: niby trochę cieplej, mrozy ustają, rzeką idzie kra, czuć wiosnę w powietrzu.

Wiosna! wiosna!

August wyjechał do siebie, gospodarzowi czas drogi, co drugi dzień odbieram listy, ojciec umyślnego po nie na pocztę posyła, listy pełne głębokiego uczucia, czytam je z przyjemnością, ale jakgdyby nie do mnie były pisane. Czasem skarga na moje lakoniczne kartki, — starałam się odpowiedzieć serdeczniej, darmo godzinami siedzę nad ćwiartką papieru, gryząc pióro w rozpaczy, — nie umiem, — język sercowy nie dla mnie, wychodzi sztucznie, słowa... słowa...

Rwę papier, po co udawać!?

Co to jest? Czy ja żałuję? Więc może lepiej się jeszcze cofnąć?

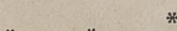
Eh nie!

August w kwietniu przyjedzie, musi dom uporządkować, urządzić, sam będzie wszystkiego pilnował. U nas też chaos, sprowadzono dwie szwaczki z Pińska, ojciec sam jeździł, wybierał płótno, szyją mi wyprawę. Oh!

Jak mi szalenie smutno!

Czy lekarstwo nie gorsze od choroby?

Nie myślmy o tem. Czemu jego niema? W jego obecności jestem spokojniejsza, on umie ukołysać moje nerwy, otoczyć mnie atmoswerą ciepła i miłości, przeinaczam się, odradzam, staję się inną istotą, więc mi go braknie teraz i zapewne dlatego jestem rozdrażnioną, lada drobnostka mię gniewa. O to życie quelle scie!



Co za nuda te wszystkie wizyty, życzenia, podziękowania, komplimenty! O lá lá!

A w domu to zamięszanie, te dwie maszyny turkocące od rana do wieczora, aż w uszach świdrują, te dwie szwaczki co przychdzą pokazywać mi każdą zakładeczkę, każdy hafcik; mam już dosyć uwag ojca, całej gamy o mej wielkiej niepraktyczności, zdaję wszystko na niego uciekam do lasu. Siadam na mokrej kłodzie drzewa. Lubię sosny ciemne, ciche, jak wielkie słupy milczenia, rdzawe mchy... Śnieg topnieje, w słońcu błyszczą się małe jeziorka. Powietrze przesycone wilgocią. Ciepło. Słychać krakanie wron. Na skraju lasu chłopek orze. Wygląda ubogo w szarej koszuli, czerwoną krajką przepasany, na nogach ma łapcie sznurkami przytwierdzone. Włosy pewno nigdy nie czesane nierównemi kosmykami wiszą na czole i ramionach. Od czasu do czasu długim batem okłada chude boki woliny „A nu byś! kse! kse!“. Sunie się pomału, a za nim smuga odwalonej ziemi się czerni.

Dalej nad wielką wodą rozlaną, podnosi się opar bladą smugą, gdzieniegdzie niby maleńkie wysepki wychylają się z wody kępki zielone. Na wysokich palach stoją kopieżki siana, jest ich dużo, coraz mniejsze, mniejsze, aż nikną gdzie

w dali. Przestrzeń bez granic... sama... nieskończenie spokojna...

Patrzę...

Godzinami nieraz tak siedzę.

Słychać dzwonki, z zakrętu lasu wyjeżdża bryka pocztowa. Za plecami starego pocztyljona dwie czapki studenckie... dwa szynele...

— Karol!

— Ewcia! dwa kroki już jest przy mnie.

— Skąd ty? Jakim sposobem?

— Prosto z budy ekstracugiem! zamknęli ją nam, cóż było robić, ciągnę kolegę Tadzika, macham do domu.

Eh, ty tam! Tadzik fujaro, wal na ziemię, niech cię siostrze pokażę!

Z bryczki zeskakuje chłopak lat dwudziestu wysoki, szczupły, wązki jeszcze w ramionach o dziecinnej twarzyczce i marzących piwnych oczach.

— Trzeba było telegrafować o konie, pewnoście panowie zmarzli tyle mil jechać?

— Et głupstwo! przejdziemy ten kawałek, rozgrzejemy się! Uf djabelnie podła ta bryczka, Tadzikowi, który nie ułamek, pedały drętwiały przez całą drogę.

Idziemy prędko. Karol ciekawie rozpytuje o wszystko, cały rok niebył w domu.

— No, a tobie winszować, co?

— Et daj spokój, nie fatyguj się.

Dokuczyło mi to ciągłe składanie życzeń, chciałabym o nich trochę zapomnieć.

Ojciec wychodzi na nasze spotkanie, z okna zobaczył, spieszy przywitać syna, ma do niego słabość. Karol całem sercem garnie się do gopodarstwa.

— Ten nie zmarnuje mojej pracy, dalej ją poprowadzi! — zawsze powtarza.

Wysuwam się mamie oznajmić i na prędce przygotować jakąś przekąskę, chłopcy zapewne zgłodniali a do obiadu daleko!

* * *

— Jak ci się Tadzik podoba?

— Owszem czemu nie, — nie podnoszę oczu od książki, którą na kolanach trzymam.

— No więc pocałuj za to, żem ci go przywiózł, musiałem siły użyć, no Ewcik podziękuj!

— ? —

— Jaki z ciebie lodowiec, powiedz czy ty tak ciągle o swoim lubym marzysz, że na takiego ślicznego chłopca ledwo spojrzysz?

— Nie nudź Karl! czego chcesz, przecie ci powiedziałam, że mi się podoba, więc? Ot weź go z sobą na pole by się nie nudził.

— Paradna! to ty postaraj się zabawić go, uśmiechnij się ładnie, pokaż ząbki, rozruszaj się, a zobaczysz że i on nie taki dziki jak się wydaje. Zresztą jeśli chcesz wiedzieć, zrobiłaś na nim wrażenie. Phy! czy to ja się nie znam!

— Idź! już idź!

— A Benjaminka zostawić, mądra kobitka, wilkowi jagniątko. Kobitki, kobitki wszystkieście jednakie!

Jestem od paru dni w fatalnym humorze, żarty Karola drażnią mię nieznośnie, wyprawiam go z pokoju, zamykam z trzaskiem drzwi.

Mama przynosi mi list od Augusta, opóźnia jeszcze swój przyjazd, masę ma zajęcia. Dom pełen cieśli, stolarzy, mularzy, tapicerów, chaos i hałas, ledwie ma na czem kilka słów do mnie skleić.

W każdej rzeczy zasięga mojej rady: „chciałbym by moje ukochanie miało wszystko według upodobania swojego, by mu było dobrze w chatynce naszej, by nigdy nie było „Tomkowi zimno!“ pisze.

Gdy byłam smutna mówiłam mu te słowa, wtedy brał obie moje ręce i pieścił.

Poczciwe serce.

Chciałabym go już mieć przy sobie, ogrzać się znowu przy jego uczuciu, bo biednemu Tomkowi zimno, bardzo zimno!

* * *

Dom pusty, Ojciec tylko drzemie na otomanie w swoim pokoju, chłopcy w polu, mama wybrała się z wizytą do Kamci, proponowała i mnie.

— O nie, stanowczo, głowa mnie boli!

Nie kłamię jestem rozstrojona, jak żydowskie skrzypce! śmieje się Karol.

— Moją siostrunię chandra dusi! — Spleen według jego nazwania.

Całemi rankami wałęsam się po lesie, w stołowym pokoju zjawiam się tylko na obiad. Oni rozmawiają; szczególniej Karol dokazuje, niewyczerpany zasób wesołości. Dowcipy jego drażnią mnie. Ostremi zębami wżyna się śmiech w każdy nerw mój, więc rozjęczały się wszystkie.

Spuszczam wzrok na obrus, liczę desenie.

— Raz, dwa, trzy! byle zagłuszyć się, byle zagłuszyć!

Dawno nie grałam, nie śpiewałam, nie znoszę gdy mnie ktoś słucha, oni wszyscy tu tak nic nie rozumieją.

Teraz korzystam z samotności. Siadam. Ciche, smutne tony, wszystkie łzy moje tym dźwiękiem wypłaczę. Skarżę się nucąc półgłosem i fortepian mnie rozumie i odpowiada skargą rozpaczną. Leci pieśń coraz głośniejsza, unosi na skrzydłach swych gorycz całą, ból, wielką tęsknotę.

Tracę rachunek czasu, w duszy robi mi się błogo i jasno, rozwiały się w nicość smutki zawiedzionych nadziei, nieokreślonych miraży, niemocy czynu, prysnęły raptem jak bańka mydlana uderzona palcem.

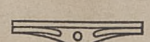
Nic nie zostało!

Jedna chwila wymazała z pamięci całe lata życia, raczej marnego szamotania się w bezmyślnym tłoku lepkich form konwenansu, runęło to wszystko, zapadło się w bezdenną przepaść, i myśl moja od ziemskich pęt wolna wzbija się kędyś w krainę cichego upojenia, gdzie bezcielesne duchy przebywają, u stóp tronu Przedwiecznego, i okiem swoim ogarnia miljony, a wokoł leje promienie miłości.

Głos brzmi coraz silniej! coraz potężniej!

Ktoś cicho płacze!

Ostry zgrzyt!... urywam.



LEONIA GRABSKA.

SPĘTANI

POWIEŚĆ.

(CIĄG DALSZY).

Nina nie wiele zważała na rozmowę toczącą się na breku, ale w głowie pozostały jej słowa pani Mirskiej o Jerzym, i pogardliwe jakieś uczucie osiadło na dnie jej serca. Nie mogła powstrzymać się, by nie dać odczuć biednemu chłopcu, że miejsce jego powinno być przy boku panny Duli. Z początku śmiał się z tych jej aluzyi, żartował, później jednak drażniło go zachowanie pięknej dziewczyny.

A ona była i tak już jakby nieswoja. Gdy Zygmunt pomógł jej zsiąść z konia, zrobiła nadąsaną minkę, prawie nie patrząc w jego stronę.

On pochwycił to jej zachowanie, przypatrując się jakimś szczególnym uśmiechem dziewczynie, która obojętna, wyniosła, przesuwała się koło niego. Wreszcie wieczorem udało mu się znaleść Ninę samą i pomówić z nią.

Goście zgromadzeni na wielkim oszklonym tarasie pili herbatę, młodsze panie nie wszystkie jeszcze skończyły robić toaletę, kilka starszych drzemało w swych pokojach, panowie tylko zebrali się gremialnie, przebrani, wyświeżeni, paląc papierosy i dzieląc się między sobą wrażeniami z polowania.

Zygmunt skorzystał w chwili, gdy pani Iza ukazała się wśród grona zebranych gości. Natychmiast kilku z złotej młodzieży, stałych jej admiratorów otoczyło piękną kobietę, zasypując ją tysiącem komplementów; na tarasie zrobiło się jasno od strojnych toalet i wesoło od gwaru głosów.

Zygmunt niespostrzeżenie wysunął się.

Odetchnął, znalazłszy się w dużym pawilonie, pełnym zielonych krzewów, palm, liści egzotycznych oraz kwiatów. Gdy tylko wszedł spostrzegł odrazu wysmukłą sylwetkę Niny, ubranej w lekko wyciętą, strojną, czarną sukienkę, która odbijając od jasnych włosów i różowej cery uwyatniała ogromnie ponętną świeżość jej urody.

Nina nie zauważyła wejścia Zygmunta, ręce jej pieszczotliwie błądziły między zielenią palm i aksamitnemi główkami gloksynji, róż i różnokolorowych wdzięcznych chryzantem. Silny zapach tuberoz przepełniał słodką wonią atmosferę pawilonu i rzucał między grupy krzewow swój upajający oddech. Jakieś dziwne, oszałamiające uczucie przenikało żyły Zygmunta, przed sobą miał tak drogą sobie twarzyczkę, wystarczało by tylko wyciągnąć ręce... Cofnął się przestraszony a zimny pot wystąpił mu na czoło. Co chciał uczynić, co wyznać?

Jeszcze czas, jeszcze może się cofnąć, nie popełnił do tej chwili niczego, coby mu kazało gardzić sobą, lecz czyż i nadal będzie umiał panować nad uczuciem?

Zapomnieć, uciec, nie widzieć jej więcej nigdy, nigdy... Nie, wszystko, tylko nie to! Coś zerwało się w jego sercu, jakaś przeciągnięta struna groziła pęknię-

ciem. Podniósł głowę. Nina była obok, tuż prawie, zakryta nieco palmami, nie widziała go, a twarzyczka jej wydała mu się bledsza i smutniejsza, a oczy zwykle tak jasne, przyćmione jakby mgłą, tęskno- ty. Za czem goni myślami, o czem marzy?

— Muzyka — szepnął do siebie — to jej miłość, to ukochanie, za tem tęskni, i może w tej chwili pragnie wyjechać, ra- daby znajdować się ztąd daleko. Ach por- wać tę słodką, cudną dziewczynę w ramio- na, trzymać ją spłoszoną tuż blisko, czuć bicie jej serca przy swoim, całować te ma- łe usteczka bez pamięci, a potem...

Doniczka trącona nieuważną ręką, spa- dła tuż u stóp Niny i rozbiła się w kawałki.

Dziewczyna drgnęła lekko, lecz za chwi- lę z uśmiechem podawała już rękę Zyg- muntowi.

— Dziwna rzecz, sama wstydzę się przy- znać, że nie mam już dawnej siły panowa- nia nad sobą, taka mała rzecz, a przestra- szyła mnie, te przymusowe wakacye i brak zwykłego zajęcia osłabiły mi nerwy o któ- rych przedtem nie wiedziałam, — tłoma- czyła się zażenowana, trochę niepewnie, jakby z tajonym lękiem. A Zygmunt pił oczyma to jej zakłopotanie, różowy obło- czek na twarzy i trochę dziecinne skrzy- wienie ust, ozdobionych parą małych do- łeczków.

Gdy stała tak przed nim z opuszczone- mi rączkami, przykrywając długiemi rzęsa- mi aksamit ócz, musiał przywołać całą swą zimną krew i odwagę na pomoc, by nie porwać jej w objęcia i wołać: — mojaś jest i mnie pokochać musisz, bo takie jest przeznaczenie nasze.

Jednakże gdy ściskał jej białe ręce, nie było w zachowaniu jego nic więcej, prócz uprzejmości dla pięknej kobiety i życzli- wości dla przyjaciółki żony, wymawiał jej, że mimo obietnicy nie usłuchała go nara- żając się na kalectwo, śmierć nawet. Wi- dząc jednakże, że temat ten był jej przy- krym, zmienił rozmowę.

—Pani smutna? to nieładnie, o, proszę posłuchać, aż tu dochodzą nas tony or- kiestry, czy nie ładne walczyki? Ach, tak Pani woli poważną muzykę, nie dziwię się taka znawczyni, ale na mnie melodya du- że wrażenie robi, bo widzi Pani ja jes- tem fantasta, a muzykę znam tylko jako amator. Sądzi Pani, że mam talent? Może kiedyś go miałem i nie umiałem go roz- winąć, a dzisiaj? — tu potarł ręką czoło zamyślił się.

Nina wspomniała, że głos jego jest bardzo piękny i że ogromnie lubi słuchać, gdy śpiewa stare, melodyjne piosenki, które tak do serca przemawiają. Wyrzucała mu przytem, że zupełnie teraz zaniedbał for- tepian, dodając żartem, że gdy odjedzie nie będzie komu namawiać go do tego.

Zygmunt prawie bezwiednie podniósł spuszczoną rękę Niny i przylgnął do niej ustami. Nina wysunęła rękę z silnego uś- cisku i przerywanym, trochę niepewnym głosem prosiła, by zostawił ja samą, gdyż jego nieobecność będzie komentowana w salonach, a ona nie chce tam jeszcze zejść, bo woli ciszę i samotność, niż to obce, liczne towarzystwo,

—Ach, tak, ciotka Genia gotowa powie- dzieć „Zygmunt pewnie flirtuje z Niną, bo gdzieby tak długo siedział?„ roześmiał się Olszanowski.

Fala krwi uderzyła do głowy dziew- częcia, oczy pociemniały z gniewu i pod- niósłszy dumnie czoło, rzuciła z zaciśnię- tych ust:

— To byłby niemądry, niesmaczny żart.

Oburzenie jej było tak silne, wyrzut tak ostry, że Zygmunt zdziwiony trochę opuścił głowę na piersi. Nina zauważyła to przygnębienie; czy błysk jakiś wewnę- trzny oświecił ją nagle, czy też lęk nieod- gadniony stanął jej w oczach, dość, że zbli- żywszy się szybko do Zygmunta, oświad- czyła mu nagle stłumionym, trochę drżącym głosem niespodziewaną wiadomość, że do- stała naglące listy z Paryża, i że musi je- szcze w tym tygodniu wyjechać koniecznie.

Przez cały czas nie patrzyła wcale na niego, w ręku miała zerwany listek kwiatu, oddychała ciężko, jakby przytłoczona tą niespodziewaną rozmową. Zdawało jej się tylko, że gdy skończyła, zapytał ją — czy to ostatnie pani słowo — gdy nic nie od- powiedziała szepnął —Kto wie — i odda- lił się. Gdy podniosła oczy była samą, przy- ciszone tony muzyki kołysały do marzeń, miękkie ławeczki i fotele zapraszały do spo- czynku. Nina odetchnęła pełną piersią.

Ach, jechać już raz tam i nie wrócić tak prędko. Tak było tu duszno jej, ta at- mosfera flirtu, ten pałac pełen gości, stro- je, muzyka, tańce, to nie dla niej. Jest w ża- łobie i przykro jej nawet, że bierze udział w tych gwarnych zabawach, a przytem od pewnego czasu miewała bóle głowy i czu- ła się nieswoją.

Ale cóż ją tu, zatrzymywało? pani Iza? Zapewne ona tylko była powodem, że Ni- na nie wyjechała dotąd. Czemuż jednak bę- dąc u wuja tęskniła do nich, czemu z taką radością witała znajome twarze? Przyszło jej nagle na myśl, że jednak oni wszyscy byli bardzo dla niej dobrzy i żal jakiś ści- snął jej serce.

— Niekonsekwentna jestem — szeptała do siebie nie mogąc oprzeć się natrętnie krążącym myślom.

Bo właściwie nie rozumie dlaczego na- gle, zmieszała się w rozmowie z Olszano- wskim, co raziło ją w jego zachowaniu. Był przecież zawsze taki bez zarzutu, a że grzeczny, cóż w tem dziwnego, zna ją tak dawno. Dlaczego nagle zdecydowała się, że musi zaraz wyjeżdżać, uciekając się na- wet do kłamstwa o liście...

Zaczerwieniła się, ona zwykle tak pra- wdomówna posłużyła się wykrętem, żeby tylko...... tak żeby uciec! Ale przed czem, cóż jej mogło tu grozić, chyba nie Jerzy, a więc? Nina czuje, że jest jakaś zagadka na dnie tego wszystkiego i nie może jej rozplątać.

Z ciężkiem sercem zasypiała dnia tego Nina w wielkim z komfortem urządzonym dla niej apartamencie, myśląc z żalem, że, to już nie te dobre czasy spędzone w Po- toku, nie ten jej mały pokoik z balkonem, opleciony różami i nie ci sami ludzie.

Zapomniała tylko, że i ona nie była tą samą, co dawniej.

IX.

Słońce już było wysoko na niebie, gdy Nina świeża, rumiana od dalekiej przecha- dzki rannej, pukała lekko do pokoju pa- ni Izy.

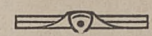
Była dziś razem z Adolfem w Potoku, by pożegnać proboszcza i odwiedzić go, oraz przekonać się, jak daleko postąpiła budowa sklepu. Wracała uradowana, wi- dząc, że na zimę wszystko już będzie goto- we, a przedewszystkiem cieszyła ją myśl, że proboszcz dawniej bojaźliwy trochę i zbyt ostrożny, dziś zapałał ogromną gorli- wością i sam namawiał ludzi, rozdawał broszurki, jednem słowem pracował nad oświeceniem tych ciemnych umysłów, by wyswobodzić swe owieczki z pod wpływu karczmarza. Rozczulał ją wprost widok te- go starca, oddanego z taką miłością wsi, w której blisko pięćdziesiąt lat był paste- rzem. A proboszcz był wzruszony pamię- cią i przybyciem w odwiedziny dwojga młodych, a Niną tak się ucieszył, że ją nie chciał w żaden sposób puścić. Widząc, jak z wikarym przegląda jakieś papiery i ko- respondencje zajęta tem, co jej młody ksiądz przekładał, mówił poważniejąc do Adolfa:

— A ten mój pomocnik to zacna dusza, tylko głowa zapalona, boję się trochę, by sobie czem władzy nie naraził. Jego by mi wzięli i koniec, bo cóż mnie by mogli sta- remu zrobić?

Nina jeszcze była pod wrażeniem tej bytności, gdy pani Iza wypytywała ją o wy- cieczkę, sama jeszcze trochę śpiąca i znu- żona po całonocnej zabawie.

Wyciągnęła ręce do dziewczęcia, ale za- raz cofnęła się.

— Nineczko co tobie, wyglądasz jakbyś całą noc nie spała, a o ile wiem zaraz po kolacji wysunęłaś się z salonów? No, przy- znaj się gdzieś to uciekła przed nami, czy- by może...

 (D. c. n.).

IZA BRONIKOWSKA.

Sâdhâna

(Urzeczywistnienie życia).

POWIEŚĆ.

 (CIĄG DALSZY).

Ach, tylko nie trzeba tak mozolnie przypominać sobie niektórych słów, zdań, które nagle i bezwiednie wygłosiło się wtedy...

I nie trzeba tak często i smutno my- śleć o domu... o dalekim Gołuszynie, któ- ry nie zostanie już teraz sprzedany — nigdy.

W pamiętniku swym — właśnie dlate- go, tak nieprawdopodobnie drogim jej sercu, że nie napisała w nim jeszcze słowa świadomej prawdy o sobie, Ania się zwierza:

„Wczoraj pisałam brednie — było mi dużo smutniej niż dziś. Miast rozpamięty- wań przeszłości, sprobujmy leczyć się... fantazją.

Gdyby napisał do mnie list, podarła- bym na drobne kawałeczki. Rozpaliłabym

ogień na kominku, aby miał wesołą śmierć. Czemu więc, czasem, naprzykład wczoraj, pół życia bym oddała — i całą swą istotną mądrość, która przecież jest mi obecnie droższą od Ingi przyjaciółką, aby wrócił! Całowałabym go bez tchu i mówiłabym mu o tem, jak niewypowiedzianie gorzko tęskni się za nim po nocach, no i wiele innych, zupełnie nie panieńskich słów — (które Bóg wie skąd wzięły się we mnie!) niby w nagrodę za to, „że umiał odejść z wdziękiem.“—

Ja kochałam go tylko ustami, toteż usta moje rozpaczają dziś po nim bardzo. — Czarny przyjaciel milczy i czeka i roztwiera szeroko smutne, szatańskie oczy. Za to przedziwne milczenie, i za kwiaty — ja mu się może po królewsku odpłacę — kto wie! Nie wiem — chciałabym uwierzyć ostatecznie w przeznaczenie — to uprościłoby wiele rzeczy. O ile w rzeczach codziennych kieruje mną zawsze tak uwielbiana chłodna logika, o tyle — gdy chodzi o moje nieliczne sentymenty, topię się sama na szukaniu objawienia — jakiejś nieodwołalnej, z góry nakreślonej drogi.—Tak, jak Rahju. Co za nonsens!

Wszyscy moi „wierni“ zauważywszy, że od jakiegoś czasu posmutniałam i straciłam humor, uwzięli się mnie pocieszać.

Dlaczego ludziom zdaje się zawsze, że najskuteczniej pocieszą zgnębionych bliźnich, zwierzając im własne sercowe sprawy? Znam na pamięć wszystkie gusta, garnitury i doskonałe cnoty Rügnera. —

Mieronicz bywa jednak bardzo dobry, o ile nie jest zupełnie głupi. — Ponieważ jestem, jak się wyraził— „jakaś nieswoja“ więc zapomniał nagle o jakiejś urojonej obrazie — (nieprawda, wiem doskonale, ja takich rzeczy nie przebaczam nawet przez sen!) i dziś rano starał się usilnie rozweselić mnie, rozpoczynając długi monolog przy mym leżaku, w ogródku. Opowiedział mi, w zupełnym napadzie śmiesznej szczerości, dzieje swego „młodocianego afektu“. Dwa lata temu zakochał się w żonie swego starego wuja. — Wujenka owa — Zosia jej było — była młodziutka i miała suchoty. Miała bardzo cichy, przytłumiony głos i taką minę, jakby się czegoś, jeszcze dzieckiem, wylękła i nie mogła o tym przestrachu zapomnieć nigdy. —

Mąż był dla niej przykry — opryskliwy, więc bała go się bardzo.— Mieronicz opowiadał to wszystko dziwnie prosto i blado; — nie umiał nawet określić, czy była ładna — siadywał przy jej łóżku godzinami, i zdawało mu się, że ona ciągle — powoli i nieznacznie, umiera. — Opowiadała mu o sobie, o swem chorowitem i smutnem dzieciństwie i biednych smutnych marzeniach grzecznej panienki — i zakochał się w końcu w jej powolnem konaniu suchotnicy, w jej bladej, przestraszonej twarzyczce i w tem, że mówiła mu słodko „Leonku“ a jego właśnie od śmierci matki nie nazywał tak nikt. Przed samą śmiercią prosiła go, aby przez pamięć o niej, spowiadał się i chodził co niedziela na mszę. —

Mieronicz opowiadał, że na pogrzebie spłakał się „jak koń“, do wuja nie przyjechał już nigdy, „a do kościoła nie chodzę proszę pani, bo co jej, niebodze, przyjdzie z tego, że się ludzie ze mnie wyśmieją — ot — takiej, jak ona nie napotkam już nigdy“.

Miał łzy w oczach i ja pewno także; gdy to spostrzegł, ucieszył się bardzo. Zaczął merdać wąsikami, okręcił się na pięcie i pocałował mnie w rękę. „Bardzom rad, żem panią trochę rozruszał!“ i poleciał do Astrid, która właśnie wracała z nieodstępnym Mechmedem z tennisa.

Biedna Zosia i biedny Leonek.

Przypomniała mi się „Opowieść o Göscie Berling“.

Gdy Gösta rozpacza, zdaje się po śmierci Ebby Dona, głuchy jego przyjaciel stara się go rozerwać i pocieszyć muzyką i wygrywa cudne arje, przebierając palcami po wymalowanych na stole klawiszach.—

Tak i Mieronicz...

Astrid i Ghaffar stanowią dziwną parę narzeczonych.

Przy ludziach, ona ma ruchy i ton łaskawej królowej, a Machmed — milczy chmurny i patrzy się z podełba — nieufnie.— Obserwowałam ich raz z werandy przez okno od salonu — gdy byli sami — Astrid klęczała przy fotelu, pokorna i potulna, jak mała dziewczynka i bawiła się bezmyślnie swym cudnym pierścieniem,— Machmed zaś położył jej rękę na włosach i prawił coś poważnie i z przejęciem. Co chwila nachylał się ku niej, pytająco, kiwała wtedy głową — i uśmiechała się, tak, jakby chciała dać poznać, że bez wahania zgadza się na wszystko z jego rąk.

Wydawali się ogromnie szczęśliwi, spokojni i zajęci tylko sobą. Dlaczego więc, przy ludziach?... Rodzina zatelegrafowała do Astrid z Gotenbergi: „Wracaj natychmiast“ Odpowiedziała im tą samą drogą „Attendez un peu“, no i po trzech tygodniach złowrogiego milczenia, którem przejmowała się średnio, doczekała się telegramu z najczulszemi życzeniami. Astrid mówi do mnie i do Ingi — „Jedziemy razem do Szwecji, wziąć ślub, a po tym do domu“. Więc to tak łatwo stworzyć sobie dom w Egipcie? Inga „wątpi bardzo“. Boże jakie to wszystko nudne. Nawet listy pani Marty. Są twarde i surowe, jak ona, a brak im tego, co jej własną surowość rozświetla. Ponieważ im „tego“ brak, więc zaczynam szukać „tego“ w sobie.

W Gołuszynie zapomniano już pewno o tem, że istnieję, a jednak Gołuszyn jest mój, a ja jestem od tygodnia pełnoletnia i jedynie siebie winić mogę, jeżeli ten mój Gołuszyn, jest mi tak bardzo obcym. Cóż, że wiąże mnie ze wsią dużo czystych, dziecinnych wspomnień, które życie pozostawiło na dnie duszy, jak biały rzeczny szlam. Czasem — rzeczy — słowa — gesty, a nawet wonie i dźwięki oderwane — wstrząsaja mną dziwnie przejmująco i niby bez powodu. To jest właśnie Gołuszyn... A jednak, gdy wrócę, będę tam zupełnie obca i zacznę strasznie tęsknić do D. Dopiero wtedy! I tego boję się najwięcej.

Ojczym pisze: „Kiedyż kochana Anetka odbierze swoje dziedzictwo z rąk przywiązanego opiekuna? Zastanów się nad tem, „kochana Anetko“ i albo wracaj — albo wymyśl sobie coś zabawniejszego. Masz, niestety przed sobą całe życie“.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Otwierając Ance drzwi swego mieszkania, Indus patrzy się trochę pytająco.

— Nie-Rahju, Ingi niema: przyjdzie może później, po wykładzie, ale prosiła, żeby z herbatą nie czekać. Kazała ci powiedzieć, że masz na mnie najwidoczniej zgubny wpływ, gdyż wolę gawędzić z tobą niż wysłuchać nabożnie modnych inepsji Bernarda Shaw'a.

Małe stworzenie ociekające wodą, w czerwonym, przejrzystym waterproof'ie i takim kapturze, mógłby być równie dobrze chłopczykiem, jak dziewczynką, lecz mimo niesamowitych pozorów ma na razie w oczach wyraz wesołej szczerości.

W ciemnym pasażyku zrzuca z siebie mokry płaszcz i rozmawiając ciągle, idzie do lustra uwolnić się z kapturka.

Mimo lipcowej pory, a raczej z powodu lipcowego chłodu i ulewy, w salonie radży pali się na kominku. On sam, ma wyraz smutny, chory, — oczy „miłosierne“ powleczone mgłą cierpienia.

Ania przypomina sobie, jak tłomaczył jej kiedyś, że Indusi żyją tylko nawpół.

Siadają przy ogniu. Ani nalewa herbatę. Ręce jej trzepocą się zręcznie, wykwintnie, wśród kosztownej porcelany i srebra.

Jest miło, zacisznie.

Ogromna, dywanem kryta kanapa, na której kłaść się można wzdłuż i wszeż, ma kojący zapach dobrego tytuniu, utajony wśród poduszek. Poduszek tych jest u „królewicza Nalu“ kolekcja wielka. Salon zdaje się być niemi zarzucony — krzeseł, fotelów niema wcale. Leżą na ziemi poduszki małe z błękitnego aksamitu, srebrem i złotem haftowane w szpony i ogony smocze, lub urywki sanskryckich ballad. Poduszki podłużne, robione z grubych, matowych tkanin indyjskich, drukowanych w czerwone skrzydła ptaków, żółte półksiężyce i meczety. Ani majaczą się wkoło na poduszkach — chińskie, na jedwabiu malowane, nikłe Ashideye, czarno białe kwiaty i pajęcze siatki i ornamentacje skomponowane z kaligraficznych znaków, to znów japońskie najcudniejsze kiście vistarji, chryzantemy lub kasztany, wywołane może pędzlem Korin'a.

Na kanapie leżą po większej części poduszki twarde i szorstkie, kształtów rozmaitych, wykrojone i pozszywane z wypłowiałych „niezdatnych“ szat liturgicznych, haftowane w umarły przepych kielichów i monstrancji—czarne, białe, zielone, fjoletowe i krwawe.

Ania ściele sobie z tego religijnego bogactwa wygodne gniazdko. Radża pieszczotliwym ruchem podłożył jej pod głowę kwadratową poduszkę z jakiejś wyblakłej żałobnej kapy.

— Tak pani ładnie.

Indus nie razi tu, jak na ulicy białym zawojem i twarzą natchnionego djabła. Pokój ten dziwaczny jest mu tłem odpowiedniem, a on sam zdaje się tu tylko najcenniejszym z nagromadzonych dziwactw i skarbów.

Na ścianach wiszą gdzieniegdzie malutkie w jedwab i lakę czarną oprawne, bezcenne obrazki *kestchi* — liście kasztanów — wielkie, bladolila gwiazdy clematisu — widziane przez łagodne deszczowe smugi. Nad kominkiem wspaniała kopja „Madonny karmiącej“ Lorenzo di Credi: na tle słonecznego włoskiego pejzażu — oparta o renesansowe kolumny—złotowłosa, cicha, młodziutka Madonna, z bladem zamyśleniem skupionego smutku na wypukłem czole i wkoło głęboko wyciętych czujnych powiek, podaje poważnie zróżowiały pąk piersi łakomym ustkom tłustego, zdrowego dziecka. A obok—w ciężkiej złotej ramie „Ucieczka Lakshama—Sen“ Surandranatha Gunguli. — W przyćmionem złocie wieczoru, schodzi cicho ukradkiem z pałacowych schodów pół-nagi—król-nędzarz—ku czekającej na zamarłem, turkusowem morzu łodzi.

Dalekie—wschodnie Memento Mori.

(D. c. n.).

Kronika działalności kobiecej.

Klub kobiecy w Lublinie.

Na zaproszenie grona Pań organizatorek, sala Resursy zgromadziła około 80 pań ze sfer inteligencji naszego miasta w celu omówienia projektu założenia w Lublinie Klubu Kobiecego.

Po zagajeniu zebrania przez p. Zajączkowską do prezydjum zostały zaproszone panie: Fabiszewska, Salkowska i Kulińska. Po ożywionej dyskusji, wywołanej referatem i projektem statutu zgromadzone panie postanowiły jednogłośnie przystąpić do zorganizowania Klubu.

Obszerna ustawa przewiduje poza ożywieniem życia towarzyskiego, umysłowego, czytelnictwa i uprawianiem sportów cele poważniejsze jak zakładanie kooperatyw kobiecych, obronę spraw kobiet oraz podejmowanie wspólnych spraw społecznych.

Nowa organizacja, stojąca na gruncie bezpartyjnym, ma wszelkie widoki rozwoju. Działalność jej mająca na widoku dostarczanie rozrywek dla członkiń i pożytku dla ogółu winna zgromadzić jaknajliczniejsze szeregi pań lubelskich.

Kobiety w parlamencie duńskim.

Od roku 1908 kobiety duńskie posiadają prawo zasiadania w radach gminnych, a od ostatniej zmiany konstytucji z roku 1915 mogą nawet ubiegać się o mandaty poselskie do parlamentu.

W ten sposób już przed dwoma laty mogłyby one posiadać swe przedstawicielki w ciałach prawodawczych; wobec wojny jednak dawne mandaty przedłużano ciągle i dopiero podczas ostatnich wyborów kobiety duńskie zdobyły sobie cztery miejsca w parlamencie. Dwie z nich nich należą do konserwatywnej partji ludowej, jedna reprezentuje stronnictwo radykalne i jedna — socjalistyczne. Do partji konserwatywnej należy p. Malwing—Hanfschulz, córka i żona adwokata z zawodu. Jej towarzyszką partyjną jest panna Kadina Ankcersted, nauczycielka, wybrana z okręgu Aarhus, jedyna więc przedstawicielka prowincji, trzy inne bowiem parlamentarzystki reprezentują stolicę. Do partji radykalnej należy pani Elna Munch, żona ministra obrony krajowej, która ododgrywała wybitną rolę w duńskim ruchu kobiecym. Socjaldemokratką wreszcie jest pani Helga Larsen, pochodząca ze sfer robotniczych, która sama również od szesnastego roku życia pracowała jako robotnica w pewnym browarze. Zwolna zyskiwała sobie ona wpływ wśród swych towarzyszek, należących do partji socjalistycznej, ich też głosami wybrana obecnie została do parlamentu.

ODPOWIEDZI.

P. Hannie z Sielc. Polecamy Sz. Pani znaną wyższą szkołę gospodarstwa domowego p. M. Norkowskiej — Warszawa Bracka 17. Kurs trwa 3 miesiące, opłata mk. 75. Po bliższe informacje zechce się Sz. Pani zwrócić wprost do szkoły.

Świteziance. Zapytanie Sz. Pani w kwestji przepisów kuchennych skierowaliśmy do p. M. Norkowskiej, zaś w kwestji kosmetycznej do p. Dr. J. Sadowskiej. Obie odpowiedzi znajdzie Sz. Pani w najbliższych numerach „Bluszczu“, który z powodu trwającego już przeszło miesiąc bezrobocia pracowników drukarskich wychodzi z opóźnieniem. Z wielką chęcią obejrzymy malarskie próby Sz. Pani, prosimy więc uprzejmie o przysłanie ich, zastrzegamy sobie tylko zupełną szczerość w ocenie. Za wszystkie miłe słowa i wyrazy sympatyi dla pisma składamy najserdeczniejsze „Bóg zapłać“.

Do Szan. prenumeratorów „Bluszczu“.

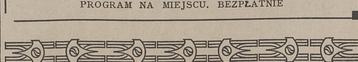
Aby uniknąć zwłoki w otrzymywaniu numerów, prosimy o szybkie nadsyłanie prenumeraty na III kwartał.

Wszyscy prenumeratorzy „Nowej Reformy“ i „Il. Kuryera Codziennego“ zechcą w ciągu czerwca nadesłać prenumeratę do „Zastępstwa Bluszczu, Kraków, Retoryka 1“.

We wszystkich sprawach, odnoszących się do nabywania książek, form, wzorów etc. dawni Prenumeratorzy przez „Kuryer Codzienny“ zechcą się zwracać wprost do Redakcyi „Bluszczu“, Warszawa, N.-Świat 41.

TREŚĆ NUMERU:

OGŁOSZENIA.



Redaktorka i Wydawczyni: **Zofia Seidlerowa.** Druk J. Świętoński i S-ka, Warszawa, Kopernika 34.

Za pozwoleniem cenzury niemieckiej.



№ 1. **Suknia letnia w formie płaszcza, przybrana zakładkami.** (Szkic 1). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Z kącika gospodyni.

Dokończenie.

Przegląd szatni.

Inaczej bywało za czasów naszych prababek. Dzień przeglądu garderoby był istnem świętem rodzinnem, w którem brały udział oprócz pani domu, wszystkie dzieci, domownicy, cała służba, ba i goście nawet, jeśli ich w tym czasie Bóg do domu sprowadził. Dla gospodyni specyalnie był to czas miłych wspomnień i wzruszeń.

Skąd ta różnica? Dlaczego to, co my odrabiamy tylko z musu, nasze prababki sprawowały z miłością i prawdziwem oddaniem?

Wiadomo, że każda praca wydaje się lekką i miłą wtedy, kiedy się w nią nieco serca wkłada. Otóż prababki nasze kochały swoją chudobę, my zaś nie tylko, że nie mamy do niej przywiązania, lecz przeciwnie, nie troszczymy się o jej dobre zachowanie, i co więcej jeszcze, lubujemy się w tem, aby to co stare jaknajprędzej precz odrzucić i sprawić sobie rzecz *nową i modną.* Tu sedno sprawy: nowość i moda to cecha doby dzisiejszej.

Dawnemi czasy mody nie ulegały wcale zmianom, lub bardzo powolnym; za nowością nikt nie gonił, bo otoczony był takiem pięknem i bogactwem, że mu te zupełnie wystarczały.

Na usprawiedliwienie pań dzisiejszych dodać tu trzeba, iż materyały dawne trwałością wytrzymywały życie kilku pokoleń, dzisiejsze zaś to tandeta tak pod względem mocy, jak gustu, którą się po krótkiem trwaniu z rozkoszą odrzuca, by sobie nową a modną zakupić. Za dawnych czasów majątek tkwił nie tylko w pieniądzach, w których nikt się tak nie lubował jak dzisiejsi ludzie, lecz w rzeczach: meblach, pojazdach, srebrach, klejnotach, misach, dzbanach, a także w futrach, sukniach, jedwabiach, adamaszkach, płótnach, drelichach i t. p., które się z pokolenia na pokolenie dziedziczyło. Córki ubierały się w suknie po matkach i babkach, oblubienica, idąca do ślubu, nakładała strój weselny swej matki. Wyprawy dla córek od ich niemowlęctwa leżały gotowe w kufrach, a składała się na nie kilkunastoletnia praca matki, ich samych i młodszych sióstr.

Matka za dawnych czasów, czyniąc wiosenny przegląd garderoby, spoglądając na porozwieszane szaty, przechodziła we wspomnieniach miłe wzruszenia, przypominające jej młodość i chwile radosne.

W skupieniu ducha segregowała dobytek, przeznaczając go do sprawiedliwego podziału między swe dzieci. Na bok odkładała sztuki zniszczone, wymagające reparacyi. Oddzielnie też układała stos rzeczy, przeznaczonych na rozdawnictwo między ubogich. Tak więc wszelkie potrzeby serca miały swe zadośćuczynienie podczas tej czynności gospodarskiej.

Tak właśnie pojmowała swe zadanie Hanna Kochanowska, małżonka Jana z Czarnolasu, jak to czytamy



№ 2. **Suknia luźnym krojem w formie kostyumu dla młodej osoby.** (Szkic 2). Forma na zam. w admin. Bluszczu.



№ 3. **Bluzka skrzyżowana na przodzie z kołnierzem w kształcie kapturka.** (Szkic 3). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

№ 4 **Bluzka jedwabna przybrana mereszką i motywami siatkowymi i spódnica z karczkiem nowym krojem.** (Szk. 4). For. na zam. w ad. Bl.



Szk. 3. Szk. 4.



Szk. 1. Szk. 2.



№ 5. **Sukienka w formie bluzy z odrębną bluzeczką.** (Szkic 5). For. na zam. w adm. Bluszczu.

u autorki Karoliny i Krystyny w jej pięknej książce p. t.: „Jan Kochanowski w Czarnolesie“.

Kochanowska, jako staranna gospodyni, miała swój osobisty, pisany, wieczysty kalendarz, czyli: *Pamięć robót gospodarskich*, gdzie było zapisane „co i jak przez cały rok z kolei robić wypada“. „Był to sposób najlepszy niezapomnienia o niczem i załatwienia każdej rzeczy w właściwą porę“.

Tam też wyczytała, że właśnie nadszedł najodpowiedniejszy czas na czynność gospodarską, zwaną *przeglądem szatni*. „Już wszystkie sznury były zasute; niektóre nawet rzeczy, jako to: kobierce, opony, makaty, sztuki całe, rozciągnąć musiano na trawie i piękny był widok tych szat rozmaitych i tkanin różnobarwnych. Rozjaśniło się czoło Kochanowskiej na widok tylu przyborów, a niektóre wzbudziły jej czułość. Tu wpadła jej w oko ślubna suknia ogoniasta, adamaszkowa biała z wielkim wzorem srebrnym... Tu kożuszek jarmuszkowy tabinowy popielicami obłożony, w jaki była ubrana, kiedy pierwszy raz zjechała do Czarnolasu... Tam dalej kabat z atłasu amarantowego sobolem obłożony, który mąż jej kupił w Krakowie za pierwszą córkę“...

„Na drugim sznurze wiszą mężowskie szaty: płaszcz rasiany, rewerenda falendyszowa, kołpak gładki axamitny, jarmułka tabinowa..., strój czarny dworski jedwabny, trochę z hiszpańska, żupan jedwabny fiałkowy, kontusz zielony axamitny z guzami koralowemi, pas złocisty, czapka axamitna biała sobolem obłożona..., ubiór jego ślubny... i t. d. i t. d.“.

„Ucieszona Kochanowska widokiem domowych dostatków i pomyślnym stanem szacowniejszych rzeczy, równie dumna, jak troskliwy dowódca, kiedy przed nim sute i dobrane roty w porządku wystąpią, nie mogła na ten jeden raz oprzeć się pokusie; pobiegła do męża pokoju, zastukała do drzwi, chociaż wiedziała, że on tam rozmyśla i pisze, i prosiła, żeby koniecznie przyszedł niebawem, bogactwa ich zobaczyć“. — „Zaprawdę — powiedział poeta, obszedłszy sznury, na których szaty wisiały — jakbym kronikę mego życia czytał!“



№ 6. **Bluzka z wysok. kołnierzem, przybrana aksamitką.** For. na zam. w adm. Bluszczu.

Poczem Kochanowska, za radą męża, odkładała do skrzyń odzienie, przeznaczone dla dzieci. Zaś córce Ludwinie, przeznaczonej do życia świętobliwego, poruczyła odkładać rzeczy, które już jedynie dla ubóstwa przydać się mogły. Następnie segregowano odzież zniszczoną: „Dwóch kuśnierzy i dwóch krawczyków, sprowadzonych wcześnie z Kazimirza, co trudniejszego było podszyli, pocelowali, skroili, uszyli...“ Pod koniec roboty matka przy pomocy Nastki, panny wyprawnej, która była jej dana w swoim czasie razem z wyprawą, „odłożyła na bok część starszej córki do wielkiej skrzyni, która już oddawna Ewy imieniem naznaczona była“, również ślubna suknia „odłożoną została dla przyszłej Pani Rotmistrzowej“.



№ 7. **Sukienka z szelkami, przybrana lekkim haftem.** For. na zam. w adm. Bluszczu.



Szk. 5. Szk. 8. Szk. 9 Szk. 10 Szk. 11a. Szk. 11b.

Wszystkie te gospodarskie czynności trwały dni kilkanaście i zapisane zostały w *Księdze Pamięci*. Wreszcie po starannem wytrzepaniu i oczyszczeniu, układało się z powrotem wszystko w skrzynie, „póki jeszcze robactwo lądz się nie zacznie, przekładając je smolnem łuczywem, przesypując pieprzem i różnemi ziołami, a potem owinione ściśle w płótna, zamykać szczelnie aż do pierwszych dni października“.



№ 8. **Sukienka z krótką bluzeczką, przybrana stebnówką.** (Szkic 8). Forma na zam. w adm. Bluszczu.



№ 10. **Suknia w formie bluzy nowym krojem z przewleczonym paskiem.** (Szkic 10). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

№ 11. **Suknia w formie płaszcza nowym krojem przybrana stebnówką.** (Szk. 11a, 11b). For. na zamówienie w adm. Bluszczu.



№ 9. **Sukienka z karczkiem.** (Szkic 9). Forma na zamów. w admin. Bluszczu.

Ale wróćmy do zajmującej nas dzisiaj specjalnie sprawy: zabezpieczenia odzieży od moli.

Czyż mole lęgną się z kurzu, jak to często od gospodyń słyszy? Bynajmniej. Lęgną się z jajeczek, złożonych przez mole na odzieży ukrytej i leżącej w spokoju czas dłuższy. Ponieważ podczas tego czasu zbiera się na niej duża ilość kurzu, przedostającego się do ukrycia przez najmniejsze choćby szpary i szczeliny, więc powstaje stąd przypuszczenie, iż rzecz zakurzona jest jednocześnie zjadana przez mole, i stąd wniosek błędny, mający tylko podobieństwo prawdy.

Pierwszoszędnym więc warunkiem zabezpieczenia odzieży przed molami, to częste jej *wietrzenie, trzepanie, czyszczenie i przekładanie*, które co pewien

czas powtarzać należy, aby uniemożliwić molom zadomowienie się na nich. Drugim niezbędnym warunkiem, to *szczelne przechowywanie* odzieży. Ponieważ i mole i kurz przedostają się wszędzie z łatwością, a więc dla niedopuszczania ich tam gdzie nie należy, najbardziej jest do zalecenia, aby odzież zaszywać w pokrowce płócienne czy papierowe, a najlepiej będzie, gdy każda sztuka odzieży oddzielnie będzie w pokrowiec opinana; wtedy choćby mol przedostał się do jednej sztuki garderoby i ją w ukryciu niszczył, nie będzie miał przystępu do innej — szkodę więc uczyni nieznaczną.

Do drugorzędnych sposobów obronnych od moli zaliczyćby należało wszelkie środki natury cieplikowej, chemicznej i aromatycznej.

Dwa pierwsze są zbyt niebezpieczne. Dowiedzionem bowiem jest, że mole ulegają śmierci pod silnem nagrzewaniem lub pod działaniem par arszenikowych; cóż jednak dla nas z tego za pociecha, kiedy oba te środki niszczą jednocześnie gryzione przedmioty. Byłaby to niedźwiedzia przysługa.

Pozostają środki aromatyczne; te jednak są zawodne: gdy bowiem pewne pachnidła dla nas sa arcyniemiłe, a nawet szkodliwe, nie idzie zatem, żeby takiemi być miały i dla moli; zróżnicowanie wrażliwości zmysłów w świecie zwierzęcym jest wielkie.

Wiemy już jakich używano środków w latach dawnych, dziś stosujemy je jeszcze, a prócz nich dawniej nieznane: terpentynę, naftalinę, kamforę i inne antymole. Czyż one naprawdę szkodzą molom? Na to stanowczej odpowiedzi dać nie można. Każda gospodyni ze swej praktyki zna przykłady, iż pomimo zastosowania tych gryzących środków, odzież jednakże bywała jedzona przez mole.

Wziąć jeszcze należy pod uwagę i to, że w dzisiejszej dobie długotrwałej wojny światowej wobec wyczerpania się wszelkich wytworów, i środki antymolowe również uległy wyczerpaniu, a w każdym razie tak podniosły się w cenie, że nie dla każdego są dostępne.

Jedynym więc środkiem, który można gospodyniom zalecać to *przegląd szatni*. Niechajże odrabiają to z takim zamiłowaniem, jak czcigodna małżonka Jana z Czarnolasu.

N. Zwejgbaumowa.



№ 12. **Kapelusz zdobny różami.** Forma na zam. w adm. Bluszczu.



№ 13. **Sukienka w formie bluzy z dwóch materyałów.** (Szkic 13). Forma na zam. w admin. Bluszczu.

№ 14. **Suknia dla młodej panienki, przybrana jedwabną materyą.** (Szkic 14). Forma na zam. w adm. Bluszczu.



Szk. 13. Szk. 14. Szk. 16. Szk. 15. Szk 17.



№ 17. **Kostyum oryginalnym krojem dla młodej panienki.** (Szkic 17). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Wzory Ubiorów i Robót do № 22 i 23.

№ 1. Suknia z jasnego bawełnianego materyału w formie płaszcza ułożona jest z przodu i z tyłu w grupy nazewnątrz zwróconych zakładek, które w dole spódniczki tworzą fałdy. Przód sukni w całej długości ułożony w kontrafałdę i zapięty na zatrzaski. Szydełkowe guziczki przybierają kontrafałdę i pasek zapięty z lewej strony, ujmujący suknię w stanie. Mereszka wykończająca obręb w dole, kontrafałdę, pasek, mankiety, i kołnierz wyłożony, oryginalnie układający się w fałdę, dopełnia przybrania.

Potrzeba $4^3/_4$ metra mat. 120 cent. szer.



№ 15. **Suknia letnia dla młodej panienki, przybrana haftowanym szlakiem.** (Szkic 15). Forma na zam. w adm. Bl.

№ 16. **Sukienka z dwóch materyałów dla młodej panienki.** (Szkic 18). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

№ 2. Lekki haft z sutaszu przybiera wdzięcznie bluzkę z baskiną przy wytwornej luźnej sukni w formie kostyumu. Do koloru sutaszu dobrana jest szarfa przytwierdzona z jednej strony z przodu bluzki, lekko obciskająca ją dookoła i przewleczona przez klamrę. Bluzka wykończona na podszewce, sporządzonej tak, aby ją było łatwo rozszerzyć, do której przyszyta jest spódnica. Okrągłe guziczki i pętelki z sutaszu tworzą zapięcie bluzki i przybranie mankietów. Przybrania dopełnia duży, batystowy wykładany kołnierz.

Potrzeba: $4^1/_2$ metra mat. 120 cent. szer.

№ 3. Skrzyżowane przody bluzki z jedwabnego trykotu wydłużone są w dwa końce i przewiązane z tyłu jak szarfa, zmarszczone w główkę i przybrane chwastami. Z tyłu bluzka przedłużona w baskinę, wycięta w szpice po bokach — i także zakończoną chwastami. Wszycie rękawów, mankietów i zeszycie ramion wy-

kończone wypustką ze sznura. Bluzka od spodu przytwierdzona do paska.

Potrzeba: 1.40 metra mat. 150 cent. szer. 5 chwastów.

№ 4. Przody ładnej bluzki z białego Crepe de ułożone są w dwie fałdy, przytrzymane kwadracikami, złożonymi z lekkiego haftu i motywu siatkowego. Duży, wyłożony kołnierz, brzegi przodu, spiczaste, wyłożone mankieciki, wszycie rękawów wykończone mereszką. Spódnica z karczkiem nowym krojem z bokami zmarszczonemi w główkę. (Patrz ryc. 3 w № 20—21).

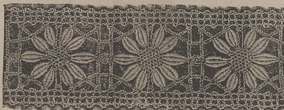
Potrzeba na bluzkę: 2.15 metra mat. 180 cent. szer.

№ 5. Sukienka w formie bluzy, którą sporządzić można też jako fartuszek, wykonana z lekkiej wełny, przybrana jest lekkim kolorowym haftem i na brzegach ozdobnym ściegiem. Bluza zapięta z tyłu — po bokach ułożona w fałdy, przytrzymane patką. Batystowa bluzeczka ujęta w pasek, przy szyi zmarszczona w główkę.

Potrzeba: 1½ metra mat. 100 c. sz. na bluzkę 1½ m. mat. 90 c. sz.

№ 6. Bluzka z lekkiej materyi prostym krojem wykończona jest z wysokim wyłożonym kołnierzem. Kołnierz ten, jakoteż ramionka i wysokie mankiety zdobi lekki ozdobny ścieg. Pozatem przybrania dopełnia aksamitka oryginalnie zwieszająca się w dwóch końcach.

№ 7. Lekka wełna użyta jest na zręczną sukieneczkę przybraną haftowanym szlaczkiem, w tym samym co materyał lub odrębnym kolorze. Sukieneczka składa się z dwóch części: dolnej przymarszczonej do górnej w formie karczka z szelkami. Bluzeczka z białym batyst. kołnierzem, również przybrana haftem — do zmiany.

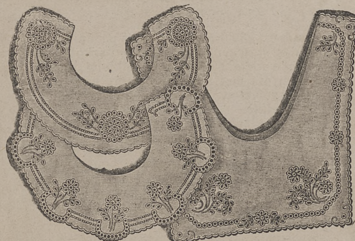


№ 18. **Klockowa wstawka do serwet, firanek i t. p.**

kawami. Okrągłe guziki zdobią przód napierśnika, dół spódnicy i mankiety.

Potrzeba 5½ metra mat. 100 cent. szer.

№ 11. Suknię w formie płaszcza w kolorze jasno-zielonym ładnie przybiera stebnówka srebrną lub czarną nitką. Ozdabia ona dół sukni oryginalnie nacięty i złożony w fałdę



№ 19—21. **Kołnierze do dziecinnych ubrań, przybrane angielskim haftem.** (Wzory na zam. w adm. Bluszczu).

przód, patki przy nacięciach kieszeni, pasek, patki przy rękawach i kołnierz, który można nosić wyłożony lub wysoko zapięty. Przód zapięty na rząd guzików, które zdobią patki, kołnierz i pasek.

Potrzeba: 4¼ metra mat. 120 cent. szerok.

№ 13. Zręczna sukienka dla młodej panienki sporządzona jest z ciemno-zielonej wełny i mat. jedw. w kratę. Krój nadaje się doskonale do przeróbek. Wełniana bluza przybrana jest wyszyciem z sutaszu. Stanik z podszewki pokryty jest przy wycięciu szyi materyą w kratę. Boki obciążone u dołu ciężarkami i rękawy z tejże materyi.

№ 14. Gładka zmarszczona spódniczka składa się z trzech części, a przybrana jest dwiema plisami z jedwabnej materyi. Z tejże materyi sporządzony jest ufałdowany kołnierz, przyczepiony z tyłu i na ramionach do bluzki, z przodu skrzyżowany, przewiązany z tyłu w dwa długie końce. Pasek pokrywa zeszycie bluzki ze spódnicą. Rękawy przybrane jedw. mat.

№ 15. Ładny szlaczek z białego płaskiego haftu zdobi sukienkę z białego płótna, wykończając modny kołnierz, mankiety oraz spódniczkę w dole i poniżej stanu, przy zeszyciu mereszką z częścią stanowiącą karczek. Po bokach spódniczka tworzy odstające kieszenie. Lila wstążka stanowi pasek.

Potrzeba 4 metry mat. 120 cent. szer.

№ 16. Forma ładnej sukienki doskonale nadaje się do przeróbek. Suknia może być zestawiona z dwóch materyałów: białego i różowego batystu, płótna i t. p., gdzie różowy mat. zdobią wyhaftowane punkty, lub też z trzech mat. — z dwóch poprzednich i odrębnego haftowanego mat. Zeszycie materyałów zdobi mereszka.

Potrzeba 2.60 metra kolorowego mat. 90 cent. szer. 1.10 metra białego mat. 110 cent. szer.

№ 17. W oryginalny sposób skrajany żakiecik nadaje się formą swą do przeróbek i wykorzystania resztek. Boki rozszyte są przez wstawione kliniki, przybrane ozdobami ze sznurka. Toż samo powtarza się na spódnicy. Przód wykończony naciętą patką zapina się na guzik. Takież patki na mankiecikach.

Potrzeba. 3.90 metra mat. 120 cent. szer.

№ 24. Wszystkie trzy serwetki ryc 22, 23, 24 ułożone na dużym stole razem z owalną pośrodku a okrągłemi po bokach tworzą ładną całość.



№ 22. **Okrągła serwetka zdobna haftem Richelieu i płaskim.** (Wzór na zam. w adm. Bluszczu).

№ 8. Stebnówka wyszyta różnokolorową nitką zdobi zręczną sukienkę, składającą się z krótkiej bluzeczki, zmarszczonej w główkę i spódniczki — ułożonej z przodu po bokach w dwie kontrafałdy, dalej zmarszczonej i przyszytej do staniczka z podszewki, rękawki krótkie, bufiaste, przyszyte do podszewki. Batystowy kołnierz.

Potrzeba: 2¼ mtr. mat. 90 cent. sz

№ 9. Sukienka z wełny w prążki w śliwkowym kolorze składa się z bluzy ułożonej w kontrafałdy i wszytej w karczek na podszewce, ozdobiony guziczkami i pętelkami z czarnej mat. Poniżej karczka bluza ujęta w wąski pasek, zapięty na przodzie. Takież paski na rękawach ponad mankietkami. Jasny batystowy kołnierzyk i mankieciki ożywiają zręczną sukienkę.

Potrzeba: 2.40 metra mat. 90 c. sz.

№ 10. Wykładany kołnierz i ufałdowany pasek przybierający ciemnogranatową suknię sporządzić można z czarnej jedw. mat. lub z mater. sukni. Pasek przewleczony jest przez przecięcia przodu oryginalnie skrajanego w formie napierśnika, ozdobionego wyszyciem z sutaszu — i z tyłu przewiązany w długie końce z chwastami. Boki sukni skrajane są razem z rę-



№ 24. **Owalna serweta zdobna haftem Richelieu i płaskim.** (Wzór na zam. w adm. Bluszczu).

ODPOWIEDZI Z DZIEDZINY LECZNICZEJ KOSMETYKI.

P. Stefanji W. Na wstępie przepraszam Sz. panie za opóźnienie w odpowiedziach, wywołane strejkiem pracowników drukarskich i stąd chwilowem powstrzymaniem wychodzenia „Bluszczu“

Szyja jest wielką ozdobą kobiety. Oprócz pięknej linii, powinna być białości takiej jak biust, a przyciemnienie i pasy bronzowe o których Sz. Pani pisze napewno pochodzą od wysokich kołnierzyków.

Przywrócić białość szyi jest dość trudno domowymi środkami.

Niech Sz. Pani spróbuje nacierać na noc wodą zimną z solą i następnie mieszaniną: 2 uncje wody kolońskiej, sok z 1 cytryny i parę kropel benzoesu. — Po zatem mam



№ 23. **Okrągła serwetka zdobna haftem Richelieu i płaskim.** (Wzór na zam. w adm. Bluszczu).

u siebie wyborny krem, którym się na noc szyję naciera i powoli naskórek się złuszcza, a szyja wybiela.

P. N. Padenkowskiej, Przemyśl-Lasanie Galicya. Niestety pomimo najszczerszych chęci, nic Sz. Pani przesłać nie mogę ze środków żądanych, poczta bowiem posyłek z lekarstwami nie przyjmuje.

P. Gawr. w Węglówce ob. Korczyny. Zapewne Sz. Pani ma trądzik (acue). Skóra tłusta, wągrowata, a tam gdzie wągier to i pryszcz z materyą.

Już o trądziku wiele pisałam, ale nic na odległość Sz. Pani poradzić nie mogę, gdyż tych środków, które są wskazane, a byłyby trochę pomocne i które Sz. Pani sobie życzy, przesłać pocztą nie mogę. Lecz acue na miejscu i bezwzględnie z dobrym skutkiem.

Trądzik zaliczyć można do tej niewielkiej ilości chorób, o których sumiennie zapewnić można, że będzie zupełnie i bezpowrotnie wyleczona metodą, którą stosuję, niezależnie od długości trwania danej choroby. Środki bywają tylko pomocniczemi przy kuracyi, lub też zapobiegają w części rozwijaniu się choroby.

Dr. Jadwiga Sadowska.

